Nr. 28. Warszawa, dnia 3 (15) Lipca 1899 r. **Rok XIX.**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Manifest Najwyższy

MY, MIKOŁAJ DRUGI,

Z BOŻEJ ŁASKI

CESARZ I SAMOWŁADCA

WSZECHROSYJSKI.

Król Polski. Wielki Książę Finlandzki

itd., itd., itd.

Wiadomo czynimy wszystkim wiernym poddanym NASZYM:

W dniu 28-ym bieżącego czerwca zmarł w Abastumanie umiłowany BRAT NASZ CESARZEWICZ NASTĘPCA TRONU i WIELKI KSIĄŻĘ JERZY ALEKSANDROWICZ.

Choroba, która dotknęła JEGO CESARSKĄ WYSOKOŚĆ, mogła jeszcze, jak się zdawało, ustąpić dzięki działaniu przedsięwziętego leczenia i wpływowi klimatu południowego, ale Bóg chciał inaczej.

Poddając się bez szemrania woli Bożej, MY wzywamy wszystkich wiernych poddanych NASZYCH, aby podzielili z NAMI smutek serdeczny i żarliwe modły o spokój duszy zgasłego NASZEGO BRATA.

Odtąd, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić NAS narodzeniem się syna, najbliższe prawo następstwa Tronu Wszechrosyjskiego, na ścisłej podstawie zasadniczego prawa państwowego o następstwie Tronu, należy do najukochańszego BRATA NASZEGO WIELKIEGO KSIĘCIA MICHAŁA ALEKSANDROWICZA.

Dan w Peterhofie w dniu 28-ym czerwca, w roku od Urodzenia Chrystusa tysięcznym ośmsetnym dziewięćdziesiątym dziewiątym, Panowania zaś NASZEGO piątym.

Na oryginale Własną JEGO CESARSKIEJ MOŚCI ręką napisano:

„MIKOŁAJ."

POLITYKA.

WE WŁOSZECH.

Po przeszłorocznych zaburzeniach, które w maju na bruku medyolańskim wystąpiły w postaci rewolucyi, Rudini upadł, a na jego miejsce w ciężkich warunkach, wymagających „silnej ręki," prezydyum gabinetu objął gen. Pelloux. Następcy udało się to, o co rozbił się był poprzednik: sejm uchwalił prawa powściągające nadużywanie swobód publicznych. Wymierzone przeciwko nadużyciom prawa te ograniczają i same swobody w wypadkach normalnego z nich korzystania. Sądy wzięły się do roboty: pociągnęły i poskazywały mnóstwo ludzi czynniejszych, większej i mniejszej miary, polityków ogólnych i polityków miejscowych, rzeczywistych wichrzycieli społecznych i ludzi czynnu przeciwnych rządowi, polityce ministrów i popierającej ich większości sejmowej. Wyroki pozapadały, skazanych pozamykano w więzieniach; prawa, jako tymczasowe, w końcu roku przeszłego odwołano. Nie powstrzymało to wszakże ogólnego wrzenia, nietylko z powodu nienawiści stronniczych, ale i z przyczyn głębszych, objektywnych: z biedy ekonomicznej i z trwałej niechęci politycznej, nurtującej lud, który nigdzie nie jest tak stale przeciwko wszelkiemu rządowi, nastrojony, i w żadnej monarchii nie ma tak mało przywiązania do dynastyi i monarchicznej formy państwa, jak we Włoszech.

Po przebudowaniu gabinetu, w którym składające go części nie umiały ułożyć się w jako tako zgodną całość, gen. Pelloux, objąwszy na nowo ster, postanowił na nowo zażądać łagodniejszych już, ale również powściągających środków przeciwko wybrykom nieprzyjaciół rządu i sejmu, a niezawodnie i pozytywnego, pozytywnie istniejącego, społecznego porządku. To właśnie na lewicę, na żywioły sejmowe, które, utrzymując ciągłe czucie ze społeczeństwem, i w osobistym i w ideowym interesie swoim nie mogły spokojnie na prawa wyjątkowe pozwolić — oddziałało jak dźgnięcie nożem w bok. Zaledwie rząd złożył na stole Izby swoje projekty, w czorwcu mniejszość zorganizowała opór przeciwko większości, gotowej te projekty w prawo zamienić; za broń w oporze służyło ustawiczne żądanie głosowań imiennych przed każdą uchwałą, choćby najobojętniejszą, przerywanie i zagłuszanie mów ministrom i posłom z prawicy, dopominanie się, aby protokóły poprzedniego posiedzenia nietylko odczytywać, ale i w imiennem dopiero głosowaniu przyjmować. Oczywiście, bez wymysłów i bójek, bez wrzawy i zgiełku, bez wybuchów najskrajniejszych gniewu i nienawiści walka toczona takim orężem obyć się nie mogła.

Ministrowie, prowadzeni przez odważnego generała, a czujący za plecami znaczną większość Izby poselskiej, gdy nie mogli wejść bramą, wdarli się furtką. Podsunęli królowi do podpisania te same prawa, których im Izba dać nie mogła, i w postaci dekretów królewskich, już wydanych, przynieśli je napowrót przedstawicielom narodu, żądając zatwierdzenia wymaganego przez prawo. Ta niezmiernie rzadko w monarchiach konstytucyjnych używana forma stanowienia praw i przepisów ułatwiła gabinetowi dotarcie do celu; sejm istotnie zatwierdził dekrety i ministrowie mieli, czego pożądali. Sama procedura była krokiem przezorności: nie wszyscy ci, którzy uznali fakt już spełniony, gotowi byli uchwalić projekt dopiero wniesiony; opór

w sejmie znacznie mniej miał pola i sposobności do wystąpienia tamującego obrady. Rząd umówił się z przewódcami prawicy, z jej hufcem rdzennym; nie było mów, nie było rozpraw; spełniono tylko formalność, a spełniono ją mimo oporu mniejszości, podniesionego do najwyższej psychologicznej potęgi. Samo już wydanie dekretów musiało republikanów i socyalistów wprawić w ajaksowy gniew: podanie ich sejmowi do zatwierdzenia wywołało szał. Potwierdzająca uchwała większości osłabić chyba szału tego nie mogła.

Posiedzenie z d. 30 czerwca pozostanie w historyi jedynym w swym rodzaju zabytkiem sejmowania narodów europejskich w końcu XIX w. Dnia tego Włosi na Monte Citorio przewyższyli Niemców bismarkowskich w pałacu austryackiej Rady państwa w Wiedniu, w ostatnim tygodniu listopada 1897 r.: w środku sali zrobił się najpierw jeden tłum bijących się na pięści, potem jeden wielki kłąb splątanych, powalonych na ziemię ciał ludzkich. Jeden z pełnomocników narodu ciężko raniony, z lżejszemi ranami, z guzami i sińcami—naliczono kilkudziesięciu. Król niezawodnie wszystkim przysługę wyświadczył i narodu nie skrzywdził, odraczając tego samego wieczora na czas nieograniczony Izbę, która stała się już przez karczemne swo bójki karczmą. Niech się namiętności wysapią, uspokoją — jeżeli uspokoić się mogą. Ani po jednej, ani po drugiej stronie nie widać dążenia do spokoju. Rząd i większość wytoczyły proces sprawcom nadużycia, jakiem rzeczywiście było porwanie urn z głosami, mniejszość, z 65 podpisanych na manifeście, protestuje przeciwko dekretom, przeciwko zawieszeniu obrad, przeciwko całej polityce rządowo-sejmowej. Nowe prawa nie wstrzymają agitacyi, tylko ją utrudnią, agitacya ta zaś zmierza do wywrócenia obecnych a wprowadzenia nowych zupełnie porządków, takich, przy których tronu dla Humberta I nie byłoby już gdzie postawić. Dla własnego ocalenia się monarchia konstytucyjna powinnaby ze swej strony nowe jakieś formy działalności sejmowej obmyślić i w życie wprowadzić.

Tydzień polityczny. Na króla Milana, od r. 1889 ex-króla serbskiego, Bułgar Knezewicz wykonał zamach. Stało się to d. 6 b. m. w Białogrodzie, w biały dzień, na ulicy. Król draśnięty, adjutant, Łukicz, raniony. Intelektualnym sprawcą czynu jest stronnictwo radykalne. Wielu już z niego najwybitniejszych uwięziono. Pasicz, który ma już w kronice swej działalność spisek z r. 1883, ujęty w Pożarewaczu, razem z innymi wtrącony do cytadeli białogrodzkiej, i teraz prawdopodobnie grał pierwsze skrzypce. Przewidywać można rządy wojskowe, dyktatorskie, nawet objęcie napowrót władzy przez króla-ojca, gdy król-syn i osobistością swoją i losem zawiódł oczekiwania. Obecnie król Milan jest tylko najwyższym wodzem wojska serbskiego. Stosunki rozwiną się ostatecznie w granicach woli, jaką powezmą Rosya i Austrya, które w kwietniu r. 1897 w ważniejszych sprawach półwyspu Bałkańskiego wspólnie działać postanowiły i dotychczas w postanowieniu tem trwały.

W Belgii ministeryum po przyrzeczeniu zasadniczem w Izbie repr. d. 30 z. m. W. d. 4 b. m. zawarło stanowczą ze stronnictwami postępowemi umowę, która oddaje ułożenie nowego prawa wyborczego komisyi mieszanej z przedstawicieli wszystkich stronnictw. Tem tylko zażegnano burzę, zapobieżono zmowie ogólnej, na dzień 5 b. m. przygotowanej, i uspokojono nietylko Brukselłę, ale i kraj cały. Walka przenosi się tedy z Izby do komisyi, aby wrócić do Izby, z Izby wyjść na ulicę — a z ulicy rozpalić się znowu po całym kraju. Na pewien czas jednak Belgia ma spokój.

Cesarz Wilhelm w tym roku znowu wyjechał pod Biegun Północny. W Bergen d. 6 b. m. sprawił Francyi i Europie niespodziankę: wszedł na pokład okrętu francuskiego do ćwiczenia młodych marynarzy, „Iphigenie,“ zwiedził, pochwalił, wystosował telegram pochwalny do Loubeta i otrzymał odpowiedź, w której wyraz *„touche“* ciężarem swoim pobudza dziennikarstwo do komentarzy.

Konferencye w Hadze w trzeciej komisyi d. 7 b. m. uchwaliły stały sąd rozjemczy w Hadze, ale jako instancyę, do której wolno przyjść lub nie przyjść — czekającą na powodów i pozwanych. Sprawozdawca Belgijczyk, senator Descamps, zrobił ładne cacko; komisarze obejrzeli je ze szczerem zadowoleniem i oddali do przechowania ministrom spraw zagranicznych i wojny. Konferencye skończyć się mają 20 b. m. Nie zgodzono się jeszcze na formę aktu ostatecznego: chcianoby uniknąć zbyt uroczystej, zbierającej wszystko w jedno; skończy się na protokółach w pojedynczych kwestyach.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WAKACYE.

Kto z nich korzysta i kto je odczuwa? Jeżeli dobrze się przyjrzymy warunkom społecznym i ekonomicznym naszego ogółu, to zobaczymy obrazy w słońcu i cieniu na rożnem tle malowane przez życie. Na wyżynach ponad chmurami i mgłami bytu rozsiadła się i rozłożyła garść tych przesyconych, z wieczną nudą na twarzy, z ciągłą myślą o tem, jak sobie dnie i noce urozmaicić, czas skrócić i siły, lenistwem osłabione, podniecić. Ci mają wakacye nieprzerwane — od kolebki do mogiły. Nieco niżej na wzgórzach, już pod chmurami, lecz jeszcze nad mgłami życia, ład i porządek tego świata umieścił ludzi oddanych pracy, niezależnej. Ci mają stałe wakacye parę razy do roku. Mogą oni tak się urządzać, że nie naruszają swego kapitału — zdrowia, ulokowanego na bardzo dobrych warunkach banku życia doczesnego, lecz tylko czerpią procenty, częstokroć nawet tylko ich cząstkę, zostawiając resztę na odsetki składane, które zwiększają kapitał. Jeszcze niżej na stokach tych wzgórz i w dolinach śród mroku trosk życiowych rozsypały się nieprzejrzane rzesze tych, którzy na swych barkach wydźwignęli owe góry i wzgórza. Stwarzają oni jeszcze obeliski domowe i na ich szczytach umieszczają rodzinę, ażeby doznawała wywczasu w najprzyjemniejszych porach roku, sami zaś nie doznają nigdy rozkoszy wytchnienia wakacyjnego śród ciszy wiejskiej. Odczuwają tylko cały ciężar wakacyj swoich bliskich.

Życie w tych warunkach tak dziwnie się ułożyło, że gdy „głowa rodziny“ czuje nieustannie ołów pracy na mózgu, omdlewającym z wysiłku, „kapłanki“ tych ognisk mogą sobie robić wakacye paromiesięczne, rozkoszować się ciszą i świeżem powietrzem na wsi. Nie mamy bynajmniej zamiaru przez to oskarżać naszych kobiet: warunki i tryb ich życia są tylko wytworem urządzeń i stosunków ogólnych. Śród warstw pracowników, zajmujących średnie i wyższe szczeble umysłowe, kobieta w znacznej większości musi być tylko szafarką, klucznicą i boną swej dziatwy. Zadanie to niemałe i niezbyt ponętne, ale przynajmniej niewymagające tak wielkiego natężenia sił, tak uciążliwych zabiegów, jak praca ojców rodzin. „Pan,“ a zarazem parobek domu, musi nieustannie myśleć o tem, ażeby były środki na utrzymanie rodziny i wychowanie dzieci. Nie wolno mu pofolgować ani na chwilę, nie wolno zachorować. Jeżeli wydatki wzrosną, powinien wynaleźć sobie środki uboczne, pracować chociażby dwadzieścia godzin na dobę, wreszcie zaprzedać się lichwiarzowi. Żona o tem wszystkiem nie powinna wiedzieć, nie powinna wnikać w stan rzeczy. Witając i żegnając męża, powinna tylko wypowiadać jedno żądanie: „Daj!“ Żaden okrzyk entuzyastyczny, wyrywający się z duszy istoty ubóstwianej, żaden idealny poryw młodości nie zagrzeje, nie podniesie tak silnie energii człowieka, „obarczonego obowiązkami rodzinnymi,“ jak ten wyraz jego dozgonnej towarzyszki życia, tak codzienny, powszedni a tak silny. Otrząśnie on go ze snu, wywlecze z łoża choroby i zapędzi do pracy, doprowadzi chociażby nawet do upokorzenia i spodlenia. Dopiero gdy ta żywa maszyna zardzewieje i w końcu rozsypie się zupełnie, wice-głowa rodziny staje się głową i zaczyna myśleć o zarobku, jeżeli nie jest jeszcze tak młodą i tak ponętną, ażeby mogła wyjść za mąż powtórnie. Taki dziś jest podział pracy na zboczach wzgórz i nizinach naszego życia, śród oświeconych warstw pracowników. A jednak ta kategorya pracowników jest uważaną za szczęśliwszą od innej, znacznie liczniejszej. Są u nas tysiące ludzi w wiecznej niewoli miejskiej, którzy odczuwają pory roku tylko ze zmian temperatury i ze wzrostu lub zmniejszenia się wydatków. Ich dziatwa szkolna nigdy nie widziała pól, lasów i łąk, nigdy nie miała sposobności obserwować budzenia się i rozwoju natury, oddychać świeżem powietrzem i widzieć czystych promieni słońca, niezabarwionych kurzem i dymem fabrycznym. Jest to armia przyszłych nędzarzy fizycznych i karłów duchowych, którzy dźwigać będą na swych barkach cały ciężar i rozwój środowisk wielkomiejskich.

Wogóle wszelkie nasze przedsiębiorstwa, wszelkie instytucye przemysłowe, finansowe i komunikacyjne udzielają bardzo niechętnie urlopy swoim pracownikom. Istnieje mnóstwo warunków, zastrzeżeń i, jak gdyby umyślnie stworzona, cała sieć formalistyczna. Prośby o urlop muszą przejść przez różne szczeble, przeleżeć w różnych biurkach, zanim wreszcie dojdą do miejsca właściwego i wywołają odpowiedź przychylną lub odmowną. Bardzo często pracownicy robią podania na wczesną wiosnę i otrzymują odpowiedź odmowną w jesieni. Wielu jest takich, którzy zamiast żądanego urlopu sześciotygodniowego otrzymują tygodniowy. Stałą zasadą jest taki system, że im niższy szczebel

zajmuje pracownik, im bardziej jest przeciążony pracą, tem trudniej i rzadziej otrzymać może urlop. Musi bowiem być faktycznym zastępcą i wyręczycielem wyższej hierarchii urzędniczej, korzystającej stale z urlopów corocznych. Przy olbrzymim rozwoju i gorączce pracy doszło już do tego, że uwalnianie pracowników na kilkodniowy wypoczynek bez potrącenia płacy, uważane jest za łaskę i filantropię. Kiedy przed kilku laty ujawniło taką „wspaniałomyślność“ paru aptekarzy, pisma wyraziły się o nich z entuzyazmem, jako o dobrodziejach.

Ponieważ coraz częstsze i powszedniejsze są fakty odmawiania pracownikom z całą bezwzględnością wypoczynku, nawet najkrótszego, o ile ci nie dadzą zastępców płatnych z własnej kieszeni: ponieważ jest faktem stwierdzonym, że olbrzymia większość ludzi najbardziej przeciążonych pracą nie może korzystać z urlopu po lat kilka, a nawet kilkanaście — więc należałoby stworzyć wakacye na drodze prawodawczej! Jeżeli prawo wgląda w warunki pracy robotników fabrycznych, jeżeli ogranicza godziny pracy nocnej i dziennej, to również dobrze i zasadnie mogłoby nakazać ulgi dla wszelkich niższych pracowników, pod postacią udzielania im stałych urlopów, bez potrącenia płacy i bez groźby wydalenia.

Wtedy dopiero mogłyby powstać i rozwinąć się racyonalnie wszelkie kolonie wakacyjne. Znaczna większość pracowników miejskich nie posiada ani krewnych, ani takich znajomych na wsi, do których można byłoby się udać na wypoczynek kilkotygodniowy z niewielką opłatą lub bezpłatnie. Ponieważ podmiejskie mieszkania letnie są nazbyt drogie, więc ci wszyscy pracownicy na urlopie nie mogliby zużytkować czasu wolnego z korzyścią dla zdrowia. Otóż z chwilą przyznania tym „białym murzynom“ czysto ludzkich praw stałego korzystania z wypoczynku, niewątpliwie rozwinąłby się nowy typ letnich mieszkań w promieniu znacznie szerszym, niż obecnie. Nadto pożądane byłyby internaty letnie dla młodzieży szkolnej, niemającej możności korzystania ze wsi u znajomych lub krewnych. O ile nas pamięć nie zawodzi, internat taki miał powstać zdaje się w stronach kieleckich. Pożądane wreszcie byłyby szkoły średnie po za obrębem miasta, zwłaszcza dla tej młodzieży, która właściwie niczem nie jest związana ze środkiem miasta. Jeden taki zakład miano otworzyć w okolicach Lodzi, dotąd jednak nic o tem nie słychać. Niegdyś przed laty kilkudziesięciu istniała pensya żeńska Kowalnickiej na głębokiej wsi w okolicach Słucka. Uczennice tego zakładu, wzorowo prowadzonego, nie wiedziały, co to jest błednica, histerya i wogóle wszelkie niedomagania nerwowe, uczyły się w ogrodzie, na wzór greckich perypatetyków. To też i praca najbardziej natężona w najpiękniejszej porze roku, podczas egzaminów, nie odbijała się tak ujemnie na zdrowiu młodych organizmów, jak obecnie w niezdrowych szkołach śródmiejskich tudzież mieszkaniach ciasnych, pozbawionych powietrza i światła. Dziś znamy tylko jeden zakład naukowy, wyższy — akademię Piotrowsko-Razumowską o 11 wiorst za Moskwą — który posiada wszelkie warunki pracy hygienicznej i zarazem produkcyjnej, skupionej, śród wolnych przestrzeni i ciszy wiejskiej. Dziś warunki życia tak się ułożyły, że zakłady naukowe po za obrębem miasta są pożądane bardziej, niż kiedykolwiek. Specyalizacya wiedzy i praktycznego jej zastosowania — coraz większa. Studenci niektórych wyższych zakładów fachowych po pracy teoretycznej muszą lato spędzać przy robotach praktycznych w mieście, więc przez cały rok nie mają wytchnienia i świeżego powietrza. Niechże takie zakłady powstają po za miastem, gdzie młodzież, o ile nie ma rodziców w mieście, będzie musiała uczyć się i mieszkać. Tym sposobem zaoszczędzi sobie nietylko sił, lecz i środków materyalnych wobec drożyzny mieszkań i utrzymania w mieście, zarazem znajdzie się jakaś równowaga dla tych, którzy bądź pracują podczas wakacyj, bądź nie mają gdzie wytchnąć.

Z GALICYI.

„Fałszywe fasye“ moralności publicznej. — Zasługi na tem polu stronnictwa krakowskiego. — Dyrektor Marchwicki. — Wystąpienie dr. Piętaka. — „Obrońcy prawa.“ — Wybór Małachowskiego prezydentem. — Co to za jeden?

Jakkolwiek mnóstwo uwag nasuwa się z powodu dzisiejszego położenia rzeczy w Austryi, w której wypadki dziejowe przeznaczyły nam niepoślednią rolę, muszę na razie pominąć broszury i wynurzenia różnych „wybitnych polskich mężów stanu“ lub „wybitnych posłów,“ któremi prasa niemiecka i nasza jest przepełniona. Ponieważ te wynurzenia nie zwiędną tak rychło, jako nowiny polityczne, muszę przejść do kilku spraw naszych, ściśle domowych, które są wysoce charakterystyczne z wielu względów i dają doskonałe pojęcie o tej niezdrowej atmosferze moralnej, jaka panuje w Galicyi. Nie tak to dawno Baudouin de Courtenay napisał broszurę p. t. *Fałszywe fasye*. Fasyą nazywają u nas deklaracye ze strony właścicieli domów co do spisu lokatorów i oznaczeniem, ile każdy płaci komornego, a to w celu określenia podatku. Ponieważ podatki w Galicyi wynoszą *faktycznie* około 60%, a często i więcej od dochodu brutto, chociaż nominalnie wypadają trochę mniejsze, właściciele poprostu w celu samoobrony składali fasye niższe od rzeczywistych. Niewątpliwie jest to sposób postępowania niemoralny, a wina cięży nietylko na właścicielach, lecz na rozbójniczym systemie finansowym Austryi. Bierność, uciekająca się do fałszerstwa, zamiast obrony prawnej, zawsze była i będzie najgorszym systemem. Broszura Baudouina, świadomie, czy nieświadomie, w to nie wchodzę, rozszerzyła tę fałszywą moralność na wszystkie objawy życia społecznego w Galicyi. Takie wrażenie przynajmniej czytelnik z niej otrzymał. Podniósł się też huczek niemały; obsypano autora gradem obelg i domysłów wstrętnych, ale wszystkie skargi, o ile mi się zdarzyło czytać, obracały się koło obrony niewinnych baranków—właścicieli domów. Teza o fałszywej moralności w całem życiu naszem pozostała nieobaloną — z bardzo prostej przyczyny: ona się obalić nie da.

Baudouin de Courtenay sformułował w słowach może zbyt ostrych największą chorobę Galicyi, tego raka, który ją toczy od dołu do góry, tj. fałszywą moralność publiczną. Nietylko odważniejsze dzienniki nasze, ale ludzie rzeczywiście uczciwi, niezależni, stronnictwa nawet głośno wypowiadają opinię, że Austrya zdemoralizowała nasze społeczeństwo. Ona stworzyła polski biurokratyzm, równie bezwzględny jak niemiecki, nieróżniący się od niego duchem, lecz jedynie mową: ona wytworzyła wielkości prowincyonalne, mające na ustach miłość i naród, a w rzeczy samej niewolniczą uległość wobec tych wszystkich, którzy żywność rozdzielają w Wiedniu lub w kraju; poszukiwanie synekur, a więc cześć dla wszelkiej protekcyi i protektorów, pochlebstwo, zdzierstwo i nadużycie władzy dla przypodobania się, panowanie oszczerstwa pod ochroną wielkich celów i zadań— oto są rezultaty tych łask, któremi nas Austrya obdarzyła, wyliczone bardzo oszczędnie.

Musiałem o tem wspomnieć dlatego jedynie, że czytelnik nie mógłby zrozumieć i wytłomaczyć sobie inaczej smutnych nieraz zjawisk naszego życia. Baudouin de Courtenay miał racyę, gdy mówił o upadku moralności w Galicyi i tylko niezdrowa miłość własna tutejszego społeczeństwa nie mogła zrozumieć, do czego wszelkie ugody z sumieniem i obowiązkiem doprowadzić mogą.

Rządy kraju przez stronnictwo krakowskie, wspierające gorąco politykę wiedeńską, do zepsucia publicznego przyczyniły się bardzo. Jego przewodnicy i zausznicy do tego stopnia zmonopolizowali sobie władzę, że nawet prawo nadużyć, w najszerszem znaczeniu, stało się jego przywilejem. Z wyjątkiem Zimy, który sam chyba nie wiedział, jaką barwę polityczną posiadał pod koniec życia, niezaprzeczone pierwszeństwo należy się figurom i figurantom krakowskim. Biorąc rzecz dokładnie, doszliśmy do tego, że owi figuranci dzierżą wszystkie nici żywotne kraju w swojem ręku, bynajmniej nie skutkiem zasług lub praw obywatelskich, lecz sympatyi z wiedeńskimi centralami. Opozycya u nas albo wyraża się w formie zbyt szorstkiej i gwałtownej, albo jest głuchym, pełnym niechęci pomrukiem, a w jednym i drugim wypadku nie posiada ani organizacyi, ani siły politycznej. Wynika z tego, że gdy porywa się do czynów nawet szlachetnych i pięknych, albo cofa się w pół drogi, albo działa w pojedynkę. Ostatecznie zwyciężają panowie krakowscy i ich satelici, siedzący na dwóch stołkach: raz występują we frakach, pozując na mężów stanu, drugi raz— w kontuszach i czaplich piórkach, udając trybunów szlacheckich.

Wiadomo, że stronnictwo krakowskie poniosło teraz dużą klęskę, czyli — jak tu mówią — „krach moralny.“ Najczyściejsi ich przedstawiciele, jak Kieszkowscy, tyloż okazali się warci, co i t. zw. demokraci lwowscy, działający w ich duchu. Burzliwa fala katastrofy wyrzuciła po za brzegi życia kilkanaście takich figur, bezbarwnych politycznie, a niejasnych pod względem moralności publicznej; gdy się nieco uspokoiło, próbują oni znowu wypłynąć. Jednym z takich panów jest Marchwicki, zwany dyrektorem. Piastuje on godność prezesa Izby handlowej, jest członkiem Izby panów, był wice-prezydentem miasta, a z chwilą kiedy Lwów zaciągnął 10 mil. pożyczki, o mało nie został prezydentem; jest radnym — nie zliczyłbym jego tytułów i dostojeństw. Krótko mówiąc — luminarz, co się zowie, wielki filar, wielki człowiek, finansista itd. Nikt o nim w ciągu ostatnich dziesięciu lat inaczej nie mówił. I miano racyę: był przecież dyrektorem banku kredytowego, jakimś kacykiem w kasie oszczędności, przyjacielem banków wiedeńskich, dyrektorem wystawy; we wszystkich uroczystych aktach zawsze figurował w orszaku Badenich, Bobrzyńskich i innych honoracyorów. A jednak... cichutko, lecz powszechnie mówiono, że jest on... Ciche głosy zaczęły być coraz natarczywsze od chwili, gdy jeden z adwokatów, człowiek niewątpliwie uczciwy,

a kolega M. z banku — także dyrektor — nagle odebrał sobie życie, a w liście pozostawionym nazwał kolegę bardzo brzydko. Równocześnie z tym wypadkiem bank zachwiał się.

Sprawę tego banku rozpatruje, zdaje się, sąd, czy coś podobnego do sądu, ale p. M., jako członek Izby panów, jest nietykalny. Warto być takim panem. Jak daleko posunęło się dochodzenie — nie wiem i nie interesuję się tem wcale. Pozostają fakty niezbite: likwidacya banku skutkiem złych interesów, nadużywanie zaufania w sprawach finansowych Krzyżanowskiego, który z tego powodu życie sobie odebrał i powszechny pomruk niezadowolenia śród ludzi niezależnych i czystych. W całej sprawie nic innego nie mówię, tylko to, co nawet wyrozumiałe dzienniki tutejsze do publicznej wiadomości podały. Marchwicki poszedł naprzekór opinii, licząc się zapewne z utartem a tak trafnem zdaniem, że Lwów opinii nie posiada. Można być, czem się komu podoba w najgorszem znaczeniu i figurować na pierwszym planie w tak zwanem „towarzystwie.“ Marchwicki pozwolił się wybrać do rady miejskiej. Tego już było za wiele. Można lekceważyć opinię w „towarzystwie,“ ale w pracy publicznej — trudniej. Rada miejska jest zbyt poważnem ciałem autonomicznem i reprezentacyjnem, ażeby ją mogli przedstawiać ludzie tak bardzo i tak powszechnie potępiani. Koleżeństwo w takiej instytucyi jest związane z czystością moralną. Albo Rada zbyt pobłażliwa na poważne zarzuty, chociażby nawet sądem niedowiedzione, jest niedołężną umysłowo i moralnie, albo nie rozumie wagi swego zadania, albo zbyt mało posiada w gronie swojem uczciwych i odważnych ludzi. Wszystkie te trzy wypadki miały teraz miejsce niewątpliwie.

Przy sprawdzaniu mandatów radcowskich zabrał głos dr. Piętak, poseł do Rady państwa i profesor uniwersytetu lwowskiego. Oparł się on na tem, że od prawa obieralności wykluczone są osoby, będące pod zarzutem sprzeniewierzenia i oszustwa — pod zarzutem nietylko sądowym, lecz także publicznym. Śmierć Krzyżanowskiego, pozostawione przez niego listy, wskazujące wyraźnie osobę Marchwickiego i posądzające go o nieprawidłowość w interesach bankowych, potrzebują sprawdzenia, gdyż każda korporacya powinna uważać, ażeby w niej nie zasiadał ten, kto nie jest jej godnym. Spełnienie tego ciężkiego obowiązku przez dr. Piętaka zrozumiało zaledwie kilku członków rady. Inni, nawet szanowni koledzy jego, udali, że albo istotnie nie zrozumieli doniosłości jego przemówienia, a bronili biednego dyrektora tem, że — sąd nie wytoczył mu procesu. Ładny argument ze stanowiska prawa, ale lichy wobec sumienia. Dziwię się tylko, że panowie koledzy: Ciesielski i Roszkowski silili się na wykazywanie w obronie Marchwickiego wielkiej znajomości prawa, która w tym wypadku nie była wcale potrzebną i nie o nią chodziło. Nazajutrz Rada miejska wysłuchała kiepskiego wywodu prawnego prof. Roszkowskiego o niewinności Marchwickiego, jako też obrony jego przez dr. Byka, który na usprawiedliwienie nie więcej powiedzieć nie umiał, jak tyle tylko, że niegdyś i jego posądzano o jakiś brzydki czyn, ale Rada załatwiła tę sprawę po domowemu, cichutko. Zdemoralizowana Francya prawie kilka lat wrzała oburzeniem i wykazywała swoim dygnitarzom fałszerstwo, oszustwo polityczne, sprzedajność, dopóki nie oczyściła stajni Augiasza. Ale to tylko zdemoralizowana Francya zrobić była zdolna. My — moralni i dobrze wychowani—mamy jeden niby szlachetny a w gruncie rzeczy lichy sposób poprawy złego — milczenie. To się nazywa praniem brudów w domu. Ostatecznie Rada miejska zdecydowała się przyjąć p. M. do swego grona, a on nie miał odwagi zrzec się mandatu. Zna Lwów i wierzy w swoją gwiazdę.

Ta sama szlachetna Rada m. Lwowa wybrała sobie na nowo prezydentem miasta p. Małachowskiego, człowieka, który stosownie do potrzeby jest albo słodki, albo nijaki. Gdy za miejskie pieniądze sprasza t. zw. po lwowsku „kołtunów,“ aby ich pokazać raz lub dwa do roku jakiemu przyjezdnemu wielkiemu człowiekowi, jest cukierkiem, gdy zaś administruje majątkiem miasta i „rządzi,“ wówczas jest zerem, z którego nie można nie śmiać się z uczuciem pewnego smutku. Niech jaki prawdziwy „Europejczyk,“ a nie taki, co nałykał się Europy w Krakowie i przyzwyczaił się „całować rączki“ i „padać do nóg,“ zajrzy teraz do Lwowa, a przekona się naocznie, że mówię szczerą prawdę — brudy, niechlujstwo, brak wszelkiego dozoru budowlanego i policyjnego przechodzi wszelkie granice. Kilka ulic niby uporządkowanych, a inne, chociaż są w środku miasta, ani oświetlenia, ani bruków nie mają. Urząd budowlany zdaje się nie wiodzieć nic o przepisach, ułatwiających komunikacyę tam, gdzie zachodzą poważne przeszkody. Teraz u nas zakładają rury wodociągowe i cóż się robi? Albo kładą dla tysiąca przechodniów dwie deski, jak na strumieniu alpejskim, chwiejące się i krzywe, przez które przejście jest pewnego rodzaju gimnastyką, albo zamykają ulicę, albo każą ludziom przechodzić przez góry i nasypiska błot pełtwiańskich. Dziś brukują ulicę, którą jutro będą rujnować pod wodociągi. Ten sam prezydent, będąc już prezydentem, nie miał odwagi zrzec się posady płatnego syndyka w kasie oszczędności. Zatrzymał ją aż do końca — i cóż robił? Nie wiedział o niczem, co się dzieje w kasie, tak samo, jak teraz chyba nie wie, co się dzieje w mieście. Prawda, przecież kierunek jego codziennych przejażdżek w powozie nie prowadzi przez brudne i ciemne uliczki. Zresztą, miasto utrzymuje dla niego konie i powozy nie na to, ażeby konie kaleczył, a powozy łamał na wybojach i cegłach zburzonych domów — i słusznie.

Cho.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Walka narodowościowa na terytoryum drobnej własności ziemskiej. — Środki zaradcze, obmyślane przez „Ostmarkverein.“ — Smutne wyniki polityki ekonomicznej. — Rezultaty kolonizacyi. — Środki drażniące. — Wyszukiwanie sprężyn politycznych.

Na mocy statystyki z r. 1897 Niemcy stwierdzili, że w obrębie posiadłości drobnych żywioł niemiecki ustępuje miejsca polskiemu. Fakt ten podkreśla *Deutsche Ztg.* W ręce Polaków przechodzi drobnych posiadłości niemieckich znacznie więcej, niż polskich w ręce Niemców. Z tego powodu „Ostmarkverein“ przesłał do ministeryum stanu podanie, w którem wyłuszcza cztery przyczyny zjawiska powyższego: 1) synowie włościan niemieckich przechodzą do stanu przemysłowego i urzędniczego; 2) pewną przeszkodą jest istniejące obecnie prawo dziedziczenia; 3) stosunki kredytowe włościan polskich i niemieckich znacznie się różnią; 4) wreszcie cechą włościan polskich jest większa ruchliwość, dzięki czemu umieją oni zdobywać sobie w przemyśle różne zarobki poboczne. Trudno temu wszystkiemu zapobiedz; jest wszakże — jak twierdzą autorowie podania — środek, który chociaż w pewnym stopniu może zabezpieczyć posiadłości niemieckie: zastosowanie prawa rentowego do obecnych posiadłości włościańskich w prowincyach kolonizacyjnych. Jak wiadomo, na mocy prawa proponowanego właściciel ziemski, parcelujący swoje dobra, może od państwa otrzymać odrazu całą sumę w listach rentowych. Nabywca zaś parceli płaci na razie tylko ułamek wartości gruntów nabytych, resztę zaś może rozłożyć na małe raty. Wprawdzie kredyt rentowy może mieć pewną racyę tylko tam, gdzie powstają nowe osady. Wyjątkowe wszakże zastosowanie jego do osad starych, w mniemaniu autorów podania, byłoby pożądane tam, gdzie ważną rolę grają względy narodowościowe, które powinny popychać państwo do wszelkich ofiar materyalnych.

„Za pewne hypoteki — czytamy w motywach — włościanin niemiecki niejednokrotnie płaci procent znacznie wyższy od przeciętnego; z drugiej zaś strony zamiana tych długów na amortyzacyjne w instytucyach bankowych i innych, pociąga za sobą wiele kłopotów i kosztów, meraz nad siły interesowanych, kredyt tych instytucyi częstokroć nie wystarcza nawet na usunięcie uciążliwych długów, powstające zaś hypoteki są przeszkodą w powodzeniu właścicieli. Niejednokrotnie już wyrażano wątpliwość, czy jest korzystnem dla państwa popieranie tworzenia polskich osad drobnych, tj. skupiania takiej ludności, która nie może zadośćuczynić obowiązkom finansowym względem państwa i gmin, skutkiem czego ich ciężary obywatelskie dźwigać muszą inne warstwy ludności. Tem większe powinno mieć znaczenie dla państwa utrzymanie istniejących gospodarstw sprzężajnych w rękach silnych i zabezpieczenie ich od nieustannego rozdrabniania.“

Jako częściowe wynagrodzenie za ofiary poniesione, można byłoby uważać połączone wraz z rentowem prawo o majoratach włościańskich. Jest to—jak mówią autorowie podania — środek zapobiegający obarczaniu osad włościańskich „ciężarami niezdrowymi,“ tudzież zapewniający wydajność posiadłości drobnych. Państwo mogłoby sobie zabezpieczyć korzyści z ofiar, poniesionych w interesie narodowym, mianowicie w ten sposób, że zastrzegłoby na hypotece pierwszeństwo do kupna dla komisyi kolonizacyjnej we wszystkich włościach rentowych świeżo powstających.

Tak więc komisya kolonizacyjna mogłaby ruch przesiedleńczy skierować nietylko do swych dóbr kolonizacyjnych, lecz także do starych gmin niemieckich, w których zwykle odczuwać się daje brak kupców niemieckich w razie sprzedaży osady. Takie zastrzeżenie na hypotece usunęłoby wszelkie wątpliwości w zakresie stosowania praw włości rentowych również do włościan polskich. „Wprowadzenie takich środków prawnych nie mogłoby bynajmniej świadczyć o jakiemkolwiek upośledzeniu żywiołu polskiego, gdyż zmiana posiadłości włościańskiej na włość rentową zależy od dobrej woli właściciela.“

Deutsche Ztg rozwija poglądy, wyrażone w podaniu. Środki te, zdaniem pisma, dałyby państwu dotąd niebywały wpływ na własność ziemską. Urządzenia owe miałyby taką doniosłość, jak komisya kolonizacyjna. *Ostmark* żąda, ażeby przy tworzeniu włości rentowych nie uwzględniano wogóle Polaków i aby zamierzone udzielanie kredytu tymczasowego, jako czynnika, wzmacniającego posiadłość polską, nie doszło do skutku w obu prowincyach kolonizacyjnych. Zwolennicy tych projektów spodziewają się, że „Ostmarkverein“ pokieruje polityką polską tak, ażeby ją uwolnić „od wszelkich kompromisów z kosmopolitycznym i humanitarnym prądem czasu.“ Niemczyzna zaś w walce obu narodowości osięgnie istotne korzyści realne. „Za wiele dotąd było praw i środków połowicznych!“

Mózgi hakatystów, zagwożdżone takimi pomysłami, straciły już zdolność liczenia się z ogólnemi prawami ekonomii, życia społecznego i politycznego. Stowarzyszenie, którego hasłem jest siła pięści i wal-

ka ze wszystkiem, co nie nosi cech niemczyzny lub nie służy jej niewolniczo — nie przebiera w środkach walki i swoje świetne środki polityczne wprowadza w praktykę nawet ze szkodą — Niemców! Hakatyzm w W. Ks. Poznańskiem, dążąc do stworzenia przewagi germanizmu na wszelkich placówkach życia, sprowadzał tam całe hufce lekarzy, adwokatów, rzemieślników i innych fachowców wszelkiego rodzaju. Potworzył reduty pod postacią różnych przedsiębiorstw, jak mleczarnie, piekarnie, sklepy towarów kolonialnych, magazyny zbożowe itd. Przedsiębiorstwa te mają na celu współzawodnictwo z przemysłem polskim i wogóle zachwianie gruntu ekonomicznego ludności polskiej.

Tej samej polityki trzyma się komisya kolonizacyjna. I oto są charakterystyczne rezultaty owej pracy: W Janowcu komisya, zakupiwszy kilka dóbr, pozakładała tam domy zarobkowe ku niezadowoleniu... Niemców. Skarżą się oni w *Posener Ztg*, że ta praca patryotyczna odbywa się ich własnym kosztem. Tak np. z powodu założenia bazaru kupcy tamtejsi będą musieli opuścić miasto. „Kolonizacyjny“ młyn parowy zrujnował czterech młynarzy niemieckich. Jakiś mleczarz niemiecki doszedł do nędzy i złorzeczy mleczarni niemieckiej; piekarze Niemcy są w rozpaczy z powodu piekarni spółkowej niemieckiej. W Gnieźnie z tego samego powodu wołają różni przedsiębiorcy niemieccy: „Co my poczniemy na kresach wschodnich, jeżeli we wszystkich miastach powstaną bazary niemieckie!“ Czy ci panowie mniemają, że podniosą niemczyznę na kresach wschodnich, jeżeli przez takie przewrotne przedsiębiorstwa handlowe wyprą z prowincyi drobnych kupców, rzemieślników i przemysłowców niemieckich? — pyta *General Anz.* Każdy pragnie żyć tam, gdzie ma utrzymanie znośne. Tymczasem bazary utrudniają przemysłowcom niemieckim byt i wypierają ich z kraju. Fatalne skutki takiego stanu rzeczy odczujemy przy wyborach!“ Na szpaltach innych dzienników rozlegają się te same skargi, nawet organ hakatystów, *Posener Tageblatt*, żąda od Towarzystwa H. K. T. rachunku i takiej polityki ekonomicznej zastosowanej w praktyce. Jest wielce charakterystyczna ta okoliczność, że wszyscy interesowani, którzy obecnie skarżą się na zgubne dla nich współzawodnictwo przedsiębiorstw patryotycznych, sami przedtem głosowali za tego rodzaju walką zorganizowaną. Omylili się oni w swoich rachubach. Przypuszczali, że nowe przedsiębiorstwa spółkowe ściągną klientelę polską i nie wejdą w drogę innym Niemcom, handlującym na własną rękę. Będzie więc i wilk syt i koza cała. Tymczasem sklepy i stowarzyszenia hakatystów nie ściągnęły polskich spożywców. Natomiast w imię uczuć patryotycznych pospieszyli do nich Niemcy, przekładając w skrytości ducha tańszy towar w spółkach, aniżeli droższy u dawnych luźnych przedsiębiorców. Jednocześnie zaznaczyć musimy jeszcze ten szczegół znamienny, że polscy przedsiębiorcy wcale się nie skarżą na nowych współzawodników.

Organizm kolonizacyjny, wzmocniony gimnastyką polityczną, faworyzowany ze wszystkich stron, zaczyna coraz bardziej niedomagać—z nadmiaru siły i dobrobytu. W ostatnich czasach sami Niemcy dostrzegają jakiś rozkład wewnętrzny. Koloniści, otrzymawszy ziemię na idealnie dogodnych warunkach, prawie darmo, zgnuśnieli i oddali się próżniactwu, pijaństwu, hulankom i wszelkim występkom. Tymczasem chłop polski przygląda się cichaczem wyższej kulturze, wszelkim udoskonaleniom technicznym i coraz bardziej zaczyna się przekonywać o ich pożytku: z drugiej strony słysząc ciągle od przybyszów, że jest upośledzonym pod względem politycznym, społeczny i ekonomicznym, że musi być odepchnięty od wszelkich przywilejów, ponieważ nie należy do szczepu germańskiego — nabiera coraz większego poczucia swej odrębności i godności narodowej. „Tyś Słowianin, tyś Polak, tj. człowiek skazany na pożarcie przez germanizm“ — słyszy on ciągle i mówi w duchu: „Tak! jam Słowianin, jam Polak, więc się nie dam pożreć germanizmowi.“

Tyle pożytku z kolonizacyi i całej polityki hakatyzmu. Są jednak i straty, szczególnie w zakresie propagandy religijnej, z którą idą wszelkie inne podmuchy moralne. Wogóle stwierdzono, że komisya kolonizacyjna wyrządziła wiele szkody katolicyzmowi, co się najwyraźniej zaznacza w statystyce szkolnej. Na 100 szkół protestanckich przypada zaledwie 7 katolickich. Oto kilka cyfr z r. 1896: założono ogółem 827 szkół nowych, do których uczęszczało 12,655 dzieci. W tej liczbie 632 szkoły protestanckie, 104 żydowskie i zaledwie 91 katolickich. Pod względem politycznym kolonizacya wyrządziła wielkie szkody. Okręgi wyborcze: gnieźnieński, witkowski, szamotulski, wągrowiecki, szubiński niedawno jeszcze były warowniami naszemi. Obecnie należą już do kategoryi bądź straconych, bądź niepewnych.

Polityka władzy wykonawczej niemieckiej nieustannie dąży do rozbudzania ducha politycznego śród tych warstw i grup ludności polskiej, które najmniej miały skłonności do jakiejkolwiek polityki. Tak np. gdy niedawno Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“ w Poznaniu postanowiło urządzić zabawę w lesie poblizkim, miejscowy komisarz policyjny położył swoje *veto*. Oznajmił on, że na niewinną wycieczkę do lasu może pozwolić tylko w takim razie, jeżeli będą ściśle dotrzymane następujące warunki: Wspólny wymarsz i powrót stanowczo jest wzbroniony. Ubiorów sokolskich nie będzie wcale. Wreszcie nikt nie ma prawa wygłosić mówki w języku polskim, zaśpiewać po polsku lub zagrać jakiejkolwiek melodyi polskiej. Ponieważ niema wcale przepisów, któreby na taki zakaz komisarzowi pozwalały, więc sprawa przejdzie przez różne szczeble instytucyi sądowej, aż dotrze do sądu administracyjnego w Berlinie. Poszkodowani, chociaż wygrają, nie będą mieli stąd żadnej pociechy, a nawet zadowolenia moralnego, gdyż komisarz za samowolę nie będzie ukarany, a w gruncie rzeczy zakaz jego pozostanie zakazem, uchylenie bowiem protestu może nadejdzie w zimie, gdy już nikt nie będzie miał chęci do „majówki.“

Niepodobna wyliczyć tych wszystkich sposobów drażnienia żywiołu polskiego, w których Niemcy doszli do mistrzowstwa. Nietylko członkom stowarzyszenia gimnastycznego, lecz wogóle wszystkim członkom naszego społeczeństwa przypominają oni na każdym kroku o tem, czem są względem narodowości niemieckiej, nie pozwalają ani na chwilę zapomnieć o swojej nienawiści względem wszystkiego, co słowiańskie.

Jak dalece polityka wszędzie gra wybitną rolę, dowodzi fakt następujący. Niedawno w Izbie poselskiej sejmu pruskiego postawiono wniosek, który domaga się powiększenia w sejmikach powiatowych W. Ks. Poznańskiego liczby przedstawicieli miast i gmin wiejskich, z tego względu, iż większa własność ziemska w sejmikach miała zbyt znaczną przewagę. Otóż Izba postanowiła za pomocą osobnej komisyi zbadać tę sprawę. Jakoż owa komisya uchwaliła wezwać rząd do przedsięwzięcia próby, która wykaże, jak na skład sejmików pod względem narodowościowym oddziałało zaprowadzanie ogólnej ordynacyi powiatowej, obowiązującej w całem państwie, z wyjątkiem W. Ks. Poznańskiego. Tak więc w instytucyi często komunalnej postanowiono wynaleźć sprężyny polityczne.

et.



LIBERUM VETO.

Historya pomnika Mickiewicza.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza w Warszawie opisał nam w osobnej broszurze historyę swojej działalności i jej wyników. Że zbyt natężoną uwagą śledziliśmy cały przebieg tego przedsięwzięcia społecznego, ażeby nawet wyczerpujące sprawozdanie jego kierowników mogło nam powiedzieć coś nowego a ważnego. Najdonioślejszy i najwymowniejszy fakt, że ubogi naród, otrzymawszy pozwolenie uczczenia pomnikiem swego nieśmiertelnego i ukochanego wieszcza złożył na ten cel 235,734 rb. w przeciągu *dwóch* miesięcy — ten po nad wszystkimi innymi górujący fakt był nam wiadomy. Znaliśmy również drugi objaw, mianowicie że ten potok ofiar trysnął głównie z dolnych i średnich warstw społecznych. Dziś może tylko w ściślejszem ugrupowaniu cyfr widzimy, że składek od ½ kop. do 1 rb. było 68,317, od 1 do 100 rb. — 17,009, od 100 do 5,000 — 149. Piękny obrazek statystyczny!

Ale sprawozdanie wskrzesza pewne momenty i szczegóły, na które jeszcze raz warto rzucić okiem, zanim przejdą do pamięci lub niepamięci. Może czytelnicy przypominają sobie, że byliśmy przeciwnikami mianowania artysty mającego stworzyć pomnik i głosowaliśmy za konkursem ograniczonym. Ale „gdy się to pisało — jak powiada autor broszury z wyraźnem lekceważeniem, przytaczając nasze zdanie—Godebski pracował w Paryżu nad rysunkiem projektu“ — czyli sprawa była odrazu przesądzona stanowczą uchwałą komitetu. Broni on jej teraz publicznie tem, że ograniczony krótkim czasem i obowiązkiem postawienia pomnika w blizkim terminie, nie mógł go przewlekać ryzykownym konkursem. Dowodzenie to nie przekonywa nas zarówno dziś, jak przed dwoma laty. Bo jakąż różnicę w pośpiechu mogło sprowadzić współubieganie się kilku artystów? W ciągu tego samego czasu, w którym nad projektem pracował jeden p. Godebski, przygotowałoby swoje wielu, a komitet co najwyżej przedłużyłby rozstrzygającą naradę o parę godzin dla wybrania najlepszego pomysłu. Zresztą Minerwa nie wyskoczyła tu odrazu z głowy Jowisza. P. Godebski musiał wielokrotnie przerabiać swój projekt, a nawet posłano aż delegacyę do Karrary, która poprawiła jego model. Gładko więc nie poszło. No, ale co by było — pyta autor sprawozdania — „gdyby konkurs zawiódł?“ Obawa zbyteczna: bo w każdym razie przyniósłby co najmniej pracę p. Godebskiego, która przecież uznana została za dobrą, a mogłaby obok niej znaleźć się lepsza. Jest to nawet bardzo prawdopodobnem.

Słuszność naszego poglądu stwierdza się jeszcze innym szczegółem sprawozdania. Zapał, wywołany myślą o pomniku Mickiewicza był tak silny, że przeniknął do ludzi, którzy z natury swego zawodu nie są czułostkowi i którzy powołani do pracy w wykonaniu przedsięwzięcia mieli prawo żądać za nią zapłaty. Niektórzy zrzekli się jej zupełnie, inni — znacznie zredukowali. Pomijając komitet, którego członkowie pełnili swe obowiązki honorowo, kilku odbywało dalekie podróże, a dr. Benni dźwi-

gał sam brzemię uciążliwych trudów dozoru i kierownictwa, zaznaczyć należy, iż fabryka Gostyńskiego podarowała wzór ślicznych sztachet (pomysłu inż. Chrzanowskiego), budowniczowie Marconi i Dziekoński zrzekli się ze swego honoraryum 1,000 rb., malarz Witkiewicz z ofiarowanych mu na koszta wyjazdu i pobytu w Karrarze 1,000 rb. zwrócił 784 rb., kantor ekspedycyjny Steinauera i Rajchmana załatwił darmo formalności celne itd. Zdarzały się przytem wypadki szczególnie rozrzewniające. Między robotnikami kamieniarskimi pracował przy schodach pomnika niejaki Hamerliński. Choćiaż czuł się niezdrów, usiłował zapanować nad niemocą. Śnieżne jednak i słotne dni listopada spotęgowały chorobę — i dzielny ten człowiek umarł na tyfus w parę dni po skończeniu roboty. Jakże na tle tych dobrych chęci i poświęceń zarysował się p. Godebski? Zażądał 50,000 rb., a pomimo że „suma ta wydawała się komitetowi wygórowaną," nie ustąpił z niej ani grosza, a mógł być w targu twardym, bo nie miał współzawodnika. I za co tyle otrzymał? W odpowiedzi na to pytanie wypiszemy kilka dat: 8 maja zdecydowano wybór p. Godebskiego: już 2 czerwca nadesłał pierwsze rysunki odrzucone, a 21 nowy — przyjęty; 7 września wygotował model, 25 października skończył lepić całą figurę. Dodajmy do tego jeszcze trzy miesiące zajęć, razem więc za 8 miesięcy pobrał 50,000 rb., co stanowi przeszło 200 rb. dziennie. Nietylko p. Godebski nie miał z pewnością równego zarobku, ale wątpimy, czy którykolwiek rzeźbiarz tyle dostał. A pamiętajmy, że ten interes zrobił Polak na Mickiewiczu! Za co jeszcze w dodatku wybito na cześć p. Godebskiego medal i złożono mu uroczysty hołd w tłumnych zebraniach — odgadnąć nie umiemy.

Czy przynajmniej jego utwór swą wartością artystyczną odpowiedział wysokości ceny pieniężnej? Jest to nadzwyczaj charakterystyczny i może jedyny w dziejach wypadek, że nikt najlżejszą krytyką nie dotknął publicznie dzieła, do którego ogół przywiązywał nadzwyczajną wagę. Milczenie to, które byłoby zdumiewającem wszędzie, a tem bardziej u nas, gdzie skłonność do krytyki i sporów przechodzi często w manię, nie świadczy wcale ani o braku znawstwa lub odwagi, ani o przyjacielskiej pobłażliwości, lecz o potrzebie, jaką pomnik zadowolił. Okazało się wyraźnie, że społeczeństwu chodziło przedewszystkiem, niemal wyłącznie o widomy znak jego czci dla Mickiewicza, a nie o przyozdobienie miasta utworem artystycznym. Dlatego wszyscy instynktową zgodą i niejako pod natchnieniem wyjątkowej u nas karności zachowania się pominęli tę ostatnią stronę pomnika, i jesteśmy pewni, że gdyby zamiast stojącej obecnie figury położono tylko ociosany blok granitu gniewańskiego z wyrytem nazwiskiem Mickiewicza — wzruszenie i zadowolenie byłoby nie o wiele mniejsze. Oto źródło zachwytów nad utworem p. Godebskiego i powód zrzeczenia się ze strony organów publicznych wszelkiej krytyki, która w obecnym wypadku nie byłaby wcale trudną. Najzwyklejsi przechodnie, mijając pomnik, dostrzegają jego wady, zwłaszcza w samej postaci wieszcza, ale każdy mówi sobie w duszy: to są drobiazgi, niknące wobec olbrzymiej jego zalety, że jest. Z tego również stanowiska sądzona działalność komitetu zasługuje na wielką pochwałę. Mógł był on postąpić właściwiej, wybrać artystę zdolniejszego i projekt doskonalszy, nabyć go taniej, ale wszystkie te możliwości, a nawet pewności, usuwają się z szali wobec faktu, że pomnik postawił. W tym czynie rozpuściły się wszystkie jego błędy.

Wyjmiemy ze sprawozdania jeszcze jeden szczegół, który byłby bardzo wstrętnym, gdyby nie był śmiesznym. Na uroczystość odsłonięcia pomnika przysłali telegramy z rozmaitych stron nietylko Polacy, ale także kilku Rosyan, wielu Czechów, Węgrów itd. Najobojętniej zachował się Kraków. Gdyby nie dr. Fedorowicz, który uratował jego honor, ten polski Pacanów, w którym niedawno jakiś wesoły korespondent *Czasu* wynalazł polską „Europę," byłby zyskał sławę zupełnego milczenia, godną kóz podkutych. Ani Akademia umiejętności, ani uniwersytet, ani Koło literackie, ani Magistrat, ani Towarzystwo sztuk pięknych, ani żadna inna instytucya tamtejsza nie odezwała się wcale. Nie pierwszy to tytuł jego „europejskiej" chwały. Kiedy wydano w Warszawie „Album" Kopernika, tylko Kraków nie nabył ani jednego egzemplarza. Dopiero gdy ujawnieniem tego faktu zaczęto go wstydzić, kupił sześć książek... Magistrat krakowski. Jak widzimy, szanowny Pacanów ma w tym względzie tradycyę i zasady.

O Mickiewiczu rzec można, że on nasz ogół uczynił wielkim, a każdego z nas małym. Ale małość wielkich mężów Krakowa nie jest jego dziełem. Jest ona wytworem hodowli miejscowej, zwanej „europejską."

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

DOROBEK SOCYOLOGICZNY.

IV. Socyologia szczegółowa.

W ostatnich czasach zaczęto bardzo troskliwie odróżniać socyologię szczegółową od ogólnej. Ta ostatnia zajmuje się tylko uogólnieniami, stanowi dział filozofii socyologicznej. Tutaj należą np. teorye o społeczeństwie jako organizmie, rozpatrywanie ewolucyi społecznej, jako cząstki wszechświata, doktryna materyalistycznego pojmowania historyi. Natomiast socyologia szczegółowa bada konkretne formy urządzeń społecznych, jak wierzenia i organizacya kapłańska, rodzina i własność, ustrój polityczny i zwyczaje. Jest ona przeważnie nauką opisową.

Socyologia szczegółowa rozwija się bardzo szybko, a przynajmniej mnoży swoje piśmiennictwo, tak iż coraz bardziej niepodobieństwem staje się objąć całość jej postępu. Specyalizacya wzrasta, bo już dzisiaj możemy wskazać kilka działów, wymagających zupełnego oddania się ze strony badacza. A jednocześnie odbywa się pewien zwrot w poglądach. W chwili obecnej nie zdołalibyśmy wymienić ani jednego z założeń, powszechnie przyznawanych za prawdziwe jeszcze przed kilku laty, co do których dzisiaj nie wypowiadanoby pewnych powątpiewań, często bardzo właściwych. Wątpliwości te nie zawsze są sformułowane wyraźnie. Ale w każdym przypadku występują o tyle jasno, że oddziaływać zaczynają na szersze koła badaczów i dają odczuć się w różnych monografiach i specyalnych rozprawach, stanowiących zwykle przednie czoło studyów naukowych. Podręczniki i książki zawsze spóźniają się o parę, kilka i nawet kilkanaście lat w porównaniu z twierdzeniami, zawartemi w takich specyalnych, nieraz bardzo niewielkich przyczynkach.

Przedewszystkiem podważono pogląd, jakoby dzisiejsze ludy dzikie mogły służyć za podstawę dla odtwarzania stosunków społecznych przeszłości szczepów cywilizowanych. Przeciwnie, należy je uważać za odchylenie od pnia rozwojowego. Bieg postępu szedł tylko w pewnych punktach globu, człowiek pierwotny, zamieszkujący je, zajmował się myśliwstwem, ale w stopniu o wiele mniejszym, aniżeli Australczyk lub Buszman. W następstwie tego i wiele urządzeń społecznych mogło wyglądać inaczej. Naturalnie, studya nad człowiekiem pierwotnym doby dzisiejszej mogą dostarczyć niejednej donioslej wskazówki co do przeszłości rodu ludzkiego, ale w każdym razie ta ostatnia nie jest jeszcze identyczną z instytucyami, właściwemi pożyciu społecznemu ludów dzikich, obecnie istniejących na ziemi.

W zakresie ewolucyi wierzeń religijnych wygłoszono ideę, mającą na swoje poparcie niezmierny materyał, iż nieokrzesany monoteizm (męzki) poprzedził polyteizmy i stanowi nie tyle zdobycz kulturalną wyższego szczebla oświaty — barbarzyńcc rolnik nigdy nie doszedłby do takiej idei — ile właśnie koczowniczego trybu życia.

W sferze rozwoju kulturalnego, obszczyna i zadruga uchodziły za pierwotne formy własności, dokładniej: organizacyi własności. Nowsze poszukiwania okazują, iż sprawa ta jest nierównie bardziej złożoną, aniżeli mniemano początkowo. Zarodki wspólnictwa istniały w pojęciach tego rodzaju, których szczątki dochowały się jeszcze u naszego ludu, kiedy powiada, że co samo rośnie, jest „boże," np. las i dlatego zabranie tam cudzej własności nie uważa za kradzież. Ale zadruga i obszczyna przedstawiają formy prawne dla tego pojęcia, które powstały już w okresie późniejszym, częściowo pod wpływem wzrostu zaludnienia, częściowo zaś stosunków podatkowo-państwowych.

Co do dziejów rodziny, stosunki rozwojowe są tak zawikłane, iż nawet nie ośmielamy się w paru wierszach na streszczenie stanu, w jakim znajdują się poglądy badaczów. Jeszcze przed paru laty posiadano gotowe formułki: prawo macierzyste i ojcowskie, które przeciwstawiano sobie. Dzisiaj widzimy już jasno, że pojęcia te nie są tak proste, bo istniały różne prawa macierzyste i różne ojcowskie, wzajemna zaś ich kolejność szła różnemi drogami, zależnie od warunków otoczenia i tradycyi rozwojowej. Jedno nie ulega wątpliwości, mianowicie iż w życiu dzisiejszych ludów dzikich dążenie ku prawu ojcowskiemu jest ogólniejsze, niż w kierunku macierzyństwa.

Przytoczyliśmy parę przykładów, przyczem mieliśmy na uwadze nie różnych pisarzów europejskich, „socyologów," ale specyalne monografie etnograficzne, pochodzące od spostrzegaczów, badających na miejscu urządzenia i wierzenia szczepów, które znajdują się na niższym szczeblu rozwoju. Dodajmy, że kiedy przed dziesięciu laty nazwiska Morgana, Howitta, Kubarego wyczerpywały liczbę takich sumiennych obserwatorów, dzisiaj zastęp ich wzrósł niepomiernie, tak niepomiernie, iż znowu nie odważylibyśmy się układać ich listy na poczekaniu, bo moglibyśmy kogoś przepuścić. Każdy numer licznych wydawnictw naukowych amerykańskich, australskich, hinduskich, nawet europejskich zawiera w sobie nieraz bardzo dobre i zasadnicze przyczynki. Co więcej, Morgan i Howitt, te dwa przodujące, rewolucyjne nazwiska, należą dzisiaj do przeszłości. Inicyatorowie nowych poglądów i nowych faktów, dostarczyli oni klucza do zrozumienia stosunków pierwotnych, ale ci, którzy skorzystali z ich pracy, poszli dalej. Swój szacunek dla mistrzów wyrażają poświęcaniem ich imieniu swoich prac, ale jednocześnie przyznają, iż oswobodzenie się od ich zapatrywań stanowiło pierwszy warunek skuteczności ich studyów. Pożyczyli od nich okularów, nie oczu!

Tak przedstawia się stan dzisiejszy socyologii szczegółowej. Znalazł on w *Roczniku socyologicznym* względnie niedokładne zobrazowanie, tak iż czytelnik nie po-

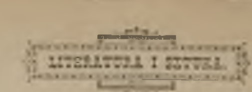
weźmie stamtąd żadnego pojęcia ani o zagadnieniach w tej gałęzi wiedzy, ani o rodzących się wątpliwościach. Swoją drogą, wydawnictwo to pozwoli mu objąć całość dokonywanych poszukiwań i zaznajomi go z ważniejszemi pracami, które pojawiły się w zakresie rozwoju różnych instytucyj społecznych. Zwłaszcza rzuci się mu w oczy rozległość poszukiwań nad wierzeniami pierwotnemi, niewątpliwie liczebnie zajmującemi pierwsze miejsce w literaturze socyologicznej. Mamy tu do zanotowania parę przyczynków bardzo poważnych. Na pierwszem miejscu dzieł uogólniających wymienimy książkę znanego badacza amerykańskiego, Brintona, poświęconą rozbiorowi religij ludów pierwotnych, Lehmanna rzecz raczej popularną, zajmującą się przesądami i magią od czasów najdawniejszych, przyczem autor daje historyczną definicyę przesądu. Jest nim wszelkie wierzenie, które nie posiada oparcia w religii, chwilowo panującej, ani w istniejących zapatrywaniach nauki na siły przyrody. W ten sposób treść i sfera przesądu zmieniałaby się wraz z rozwojem religii i nauki — pojęcie bardzo elastyczne i korzystne, jako pozwalające traktować przedmiot z punktu ewolucyjnego. Jest on zawsze związany z atmosferą wierzeń i poglądów danego społeczeństwa i powinien być rozpatrywany tylko z ich stanowiska. W taki sposób dla naszego dalekiego przodka, poganina, wróżenie z sita nie było przesądem, ale środkiem praktycznym, dyktowanym przez jego system religijny, dla nas zaś przedstawia ono najpospolitszy zabobon. W dalszym ciągu winniśmy wymienić wielkie trzytomowe dzieło J. M. de Groota, Holendra, pisane po angielsku i poświęcone religijnemu systematowi Chińczyków, niemal wyczerpujące kwestyę i zajmujące się głównie kultem dziadów, który, jak wiadomo, stanowi podstawę wierzeń codziennych i stałego kultu w państwie środkowem. Na wzmiankę zasługują praca znanego badacza angielskiego, Frazera, polegająca na wydaniu opisu Grecyi przez Pauzaniasza i zaopatrzeniu w komentarze, tak iż powstało aż sześć olbrzymich tomów, będących wielką encyklopedyą wierzeń i zwyczajów starożytnej Hellady. Do powyższej listy dodać winniśmy nazwiska Maksa Müllera, Andrew Langa, Usenera, i wielu innych. Wszystko to są badacze, których paru wierszami zbyć niepodobna. Poprzestajemy więc tylko na prostem wymienieniu więcej znanych.

W zakresie socyologii „prawnej i moralnej“ zaczniemy od wzmianki o pracy Vierkandta, zajmującej się analizą czynników, pod których wpływem powstają nowe zwyczaje.

Badacz niemiecki zawarł swoje wywody na kilkunastu stronicach, ale poruszył tam bardzo ważne zagadnienie, bo punktu widzenia, z jakiego mamy badać rodowód obyczajów. Usiłuje on przekonać czytelnika, że początku różnych zwyczajów nigdy nie należy szukać w sferze świadomości psychicznej, ale w pobudkach i instynktach ślepo działających. Jeśli — powiada on — mamy przed sobą dwie teorye, dotyczące ludożerstwa, jedną, wyprowadzającą kanibalizm z uczucia religijnego, drugą — ze zwierzęcych popędów naszego przodka, to niewątpliwie ostatnia hypoteza będzie posiadała słuszność po swojej stronie. Tak samo język nie jest wynalazkiem świadomym człowieka, ale wymagania pierwotnego pożycia, dźwięki rytmiczne, które wychodziły w chwili uniesienia z gardła ludzkiego, dały początek mowie członkowanej. Przytem badanie pierwocin społecznych jest nauką jedynie hypoteczną, t. j. opieramy się tu nie na faktach, lecz na hypotezach, wyprowadzanych z tego, co widzimy dokoła siebie. Hypotezy te powinny przedewszystkiem wziąć pod uwagę psychologię człowieka w okresie pierwotnym i z niej odbudować jego zwyczaje. Ale zarazem musimy i o tem pamiętać, iż ta duchowość była odmienną od naszej.

Wymienione kilka innych książek, częściowo znanych czytelnikom *Prawdy*, jeszcze więcej artykułów specyalnych, poświęconych rozpatrzeniu pewnego szczegółu. Wogóle piśmiennictwo w dziale niniejszym przedstawia się o wiele szczuplej, niż w poprzednim. Z pośród prac, o których tam znajdujemy wzmiankę, zatrzymamy się nad dziełem W. Rudecka: „Historyą moralności publicznej w Niemczech“ — nie dlatego, ażeby odznaczało się ono czemś nowem, ale ponieważ porusza rzeczy bardzo mało znane i wykazuje w całej rozciągłości przewrot moralny i obyczajowy, jaki odbył się w łonie kultury niemieckiej w ciągu wieków średnich.

Rudeck pod moralnością publiczną rozumie normy, wegług których społeczeństwo patrzy na stosunek pomiędzy mężczyzną i kobietą. Według jego poszukiwań okazuje się, iż tolerancya podczas wieków średnich dochodziła pod tym względem bardzo daleko, chociaż jednocześnie obyczaje, niemożliwe z naszego punktu widzenia, bynajmniej nie zawsze szły w towarzystwie z rozwiązłością. Pomimo wysiłków ze strony Kościoła, kąpiele były wspólne dla obu płci. W niektórych miastach zamierzający się kąpać, rozbierali się w domu i udawali się przez ulice miasta nago albo w kompletnym niemal negliżu. Jedynie warstwy wyższe były co do tego ostrożniejsze. W większości miejsc kąpielowych istniała jedna tylko sala, wspólna dla obu płci, w której rozbierano się. Służbę pełniły tam tylko kobiety. Kąpiele zaś były bardzo rozpowszechnione, bo nawet najmniejsze miasteczka ówczesne je posiadały. W wielu okolicach Niemiec na wsi istniały pewne dni w roku, uprzywilejowane, kiedy zwyczaj pozwalał każdemu parobczakowi spędzać noc u upatrzonej dziewczyny. Nierzadko bynajmniej nie spotykał się z takiem uczuciem pogardy, jakiem otaczamy go dzisiaj. Panowie feodalni, w tej liczbie dostojnicy Kościoła, stąd czerpali swoje dochody, utrzymując odpowiednie domy. Dochodziło do tego, iż publiczna dziewczyna w dniu ślubu składała swoje powinszowania pannie młodej, wychodzącej za mąż za kogoś z jej klientów. Dopiero ku schyłkowi wieku szesnastego rozpoczyna się zwrot w kierunku większej surowości obyczajów. Ubiór staje się staranniejszy, lepiej zakrywa ciało. Sztuka jednak i literatura wyłamują się z pod tego przełomu i trwają przy dawnym sposobie patrzenia na rzeczy. Rudeck wyraża się, iż nieobyczajność, wypędzona ze sfery gestów, rozwielmożniła się w wyobraźni i w języku. W ogólnym rezultacie istnieje pewna dziedzina, która do dnia dzisiejszego okazała się oporną względem postępów obyczajności, mianowicie scena. Zachodzi jedna różnica pomiędzy rozwiązłością przeszłych wieków a resztkami jej za czasów naszych. Dawna była szczerą i naturalną, przedstawiała prosty a niemaskowy wyraz namiętności, dzisiejsza stała się uczoną, wyrafinowaną, raczej słowną niż czynną, posługującą się całym szeregiem sztuczek, które potęgują żądzę. Z tego punktu widzenia, w kobiecie, bez ubioru, udającej się do miejsca kąpielowego przez ulice miasta, było więcej przystojności i mniej nieczystych myśli, aniżeli w dzisiejszej damie, starannie rozmyślającej nad swoją suknią balową i jej fortelami. Ale właśnie te fortele i ta sztuka świadczą najwymowniej o zwrocie, który odbył się: rozmyślająca dama czuje, iż w jej postępowaniu jest coś, co sprzeciwia się utartym naszym poglądom. Wyobraźnia gorączkuje się i zanieprawia, jak tego nigdy nie robiła w okresie wcześniejszym. *L. K.*



POEZYA I RYMY.

III.

Józef Stanisław Wierzbicki: O brzasku. Mińsk gub., 1898.

Stan. Wierzbicki („O brzasku“) jest smutny, nazbyt może jednostajnie smutny. Wyczuwamy w nim jakiś przedwczesny pesymizm, przez który przebijają się dźwięki zdradzające młodzieńczą, niezużytą siłę. Przypuszczamy, iż autor otrząśnie się wreszcie kiedyś z przygnębienia. Nadto w nutach jego pieśni, w pomysłach i ich wykonaniu jest jakieś zabarwienie „modernistyczne.“ Smutek p. Wierzbickiego jest jakby wyrazem znużenia istotnego i głębokiego, połączonego z łagodnem poddaniem się losowi. Z poezyj jego wygląda melancholijne oblicze przeszłości; jego muza jest uosobieniem wspomnieniem. Mówi nam to zarówno treść, jak forma i koloryt natchnień, smutnych czy to „o brzasku“ wiosennego dnia, czy to przy towarzyszeniu wichru jesiennego. Kierunek wyobraźni poety jest romantycznym, jak to nieraz zaznaczano. Przyroda w poezyi nowoczesnej najczęściej jest tylko „nastrojem“; jej kształty, przez marzycielską mgłę oglądane, tracą odrębność zarysów. Lecz pomimo to wszystko istnieją jeszcze, bo stanowią tło, na którem poeta roztacza widziadła własnej wyobraźni. U Wierzbickiego często realność i indywidualność zjawisk zanika całkowicie: przesłaniają mu je twory fantazyi, zesztywniałe i nieprzejrzyste pomimo swej powiewności i lotności. „Wschodzącej zorzy odblask gra na skał krawędzi: w rydwanie pozłocistym czarnoksiężnik pędzi... Z szumiącej olchy zabrzmiał śmiech złośliwy karła, ondyna główkę wdzięczną na lilii sparła“ itd. W księżyca promieniu pomyka elf, w kropli spadającej z liścia rosy sylf się waży; z otulonego mgłą i mrokiem boru wyrastają wieżyce zamku średniowiecznego... Przedarł się przez chmury i odbił od gałęzi błysk miesięczny: to z gotyckiego okna wygląda samotna królewna. Każdy szmer, każdy cień powołuje do życia chochlików, dziwożony, rusałki, zaczarowane księżniczki, rycerzy okrągłego stołu i tak bez końca. Ten kierunek wyobraźni kojarzy się wogóle z pewną jej biernością wobec motywów nieraz już powtarzanych. Nie zawsze można zauważyć ścisłą równoległość pomysłów, ale często dostrzegamy w pieśni p. W. jakieś znane nuty. „Coś się nam przypomina,“ zupełnie tak samo, jak zawsze i wszędzie coś przypomina się samemu poecie. Wrażenie to jest spotęgowane przez to, iż obrazy cząstkowe, ów materyał, z którego się układa całość poetycka, nie odznaczają się oryginalnością i świetnością. Jednostajnie ukazują się przed nami bujające kielichy lilii, rosy, łzy itp., a i dykcya nie zawsze jest wykwintna. Niepodobna nie dostrzedz wielkiej dbałości p. W. o gładki tok wiersza, a kunsztowność jego pod tym względem jest wyższą, aniżeli u niejednego z uznanych powszechnie mistrzów rytmu i rymu; zaznaczyć to można zwłaszcza w miarach pospolicie używanych. Ani jego trzynastozgłoskowiec, ani jedenastozgłoskowiec nie jest takim, jak zazwyczaj. Wytwarza to przecież jednostajną nieco melodyjność. Ciche, jak brzęk muszki, wołanie porwanej przez czarodzieja królewny, lekkie pląsy elfów w mgle wieczornej, dźwięk rogu rycerskiego w jesiennym wichrze, kaskadą pereł rozsypujący się śmiech ondyny — wszyst-

kie te głosy, wszystkie oddechy istot powietrznych, te westchnienia mar, z mogił wynikłych — to łagodny wtór do smętnej melodyi, nieustannie odzywającej się w uchu poety, to niemilknący żal osamotnienia, to posępna skarga, iż przeszłość z dołu grobowego się nie podniesie. Jaka przeszłość? Czasem jest to coś nieuchwytnego, coś rozlewającego się w mgłę, jak sama pieśń autora „Hanki.“ Czasem jest to wieczyste pożegnanie, rozłąka z ukochaną osobą, oczy matki, które zapadły w duszę dziecka, wspomnienie kochanki. Niekiedy to są sny Lancelota, gasnący odgłos pieśni rycerza-trubadura, to sfinks piaskiem pustyni zasypany, opuszczony kościół, bóstwo zapomnienia, to cały świat dawnych uczuć, ideałów, ukochań, wzlotów, to wszystko, co żyło, a teraz rozpada się w gruzy. Powtarzamy, jest w tem wszystkiem jakaś rozwiewność. Przypomnijmy sobie widmo Asnykowskie, które, naprożno z grobu powstając, dąży, gdzie biły dla niego „serca kochanków tysiąca,“ a które jest „całej epoki myślą umarłą.“ Tej określoności, tego skupienia się w jednem uczuciu, tego zwrotu myśli ku niedawnej dobie życia narodu niema u Wierzbickiego. U niego każda śmierć, wszystko, co umarło, budzi żal i tęsknotę. Niema tu tego rodzaju odwrócenia się od teraźniejszości, która uobecnia dla nas świat umarły, jak to np. jest u Morrisa, u którego również spotykamy romantyzm wszystkich wieków: bo u naszego poety roztapia się wszystko w uczuciu: minęło. Ale niema też uogólnienia filozoficznego, niema wniosku o nietrwałości uczuć i dzieł ludzkich, o marności tego, co istnieje pod słońcem. Poezya jego jest jakby bezpośrednim odruchem na myśl: żyło, kwitło i rozrastało się bujnie, a oto już nie jest, a oto już zapomniane. I dlatego poeta wciąż słyszy w powietrzu szmer skargi: „Mkną ostatni tułacze jesieni: ktoś się żegna, ktoś płacze w przestrzeni.“ Po tem wszystkiem, co było, po śnie każdym, co kona, ach, nad każdą mogiłą, płacze dusza stęskniona...“ Któż jest Wierzbicki? „Był wiecznym tylko podróżnikiem i wiecznie latał w gości pustkowiem życia dzikiem w czarowny kraj młodości.“

Młodości uczuć i młodości świata.

A. Drogoszewski.

LITERATURA ANGIELSKA.

Lionel A. Tollemache: *Talks with Mr. Gladstone.* Londyn, 1888. — *The Letters of Robert Browning and Elizabeth Barrett Browning.* 2 tomy Londyn, 1899.

Po śmierci Glastone'a bliski jego przyjaciel, Lionel Tollemache, który jest jednym z najbardziej wykwintnych i przenikliwych krytyków Anglii współczesnej, autorem dzieł „Benjamin Jowett,“ „Safe studies“ itd., wydał swe notatki z rozmów, które prowadził z wielkim mężem stanu podczas ostatnich dziesięciu lat jego życia. Książka ta charakterystyczną jest nietylko dla Gladstone'a, ale i dla krytyka. Pierwszy w rozmowach tych, dotyczących rozmaitych kwestyj polityki, filozofii, literatury i życia społecznego, występuje wciąż jako praktyczny mąż stanu, zapatrujący się na wszystko z moralnego punktu widzenia: drugi, jako delikatny esteta, rozporządzający przytem olbrzymią erudycyą, chętniej zastanawia się nad artystyczną i filozoficzną stroną rzeczy.

Oto przykład, który różnicę tę uwydatni. Mając do wyboru pomiędzy spokojną acz szarą epoką zdrowego rozwoju społecznego Anglii za Plantagenetów, a burzliwą, pełną nieszczęść publicznych, ale artystycznie bogatą epoką Tudorów, Gladstone bez namysłu oświadcza się za pierwszą, Tallemache za drugą. Ten ostatni tak pisze o sobie:

„W naszych poglądach na narody, również jak i na jednostki, nie jesteśmy bynajmniej pociągani przez okresy zupełnego ich zdrowia i normalności. Zaiste, aloes nie jest w stanie zdrowym, gdy kwitnie, nie mniej, niż legendowy łabędź, gdy śpiewa. Ale wolę raczej spoglądać na każdą z tych istot żywych za krótkich czasów ich piękna chorobliwego, niż za czasów ich zdrowej otępiałości. Z tego samego powodu czuję większe zainteresowanie dla rzeczypospolitej rzymskiej, jaką była w wieku Cycerona i Lukrecyusza, niż w mocnej epoce Scypiona i Fabiusza. Dlatego też *mutatis mutandis*, nawet gdybym przyznał wszystkie zalety, które Gladstone przypisywał porządnemu rozwojowi epoki Plantagenetów, czułbym większy pociąg ku Anglii z czasów Shakespeare a i Raleigha.“

Bardzo ciekawą jest także rozmowa, gdzie Gladstone wyrzuca Tallemachowi jego twierdzenie, iż natura nie jest ani moralną, ani niemoralną, tylko niezależną od moralności. Już Horacy powiedział, iż pobożność nie uwalnia człowieka od starości i zmarszczek. Co się zaś tyczy zjawisk, nieulegających władzy człowieka, jak trzęsienia ziemi, to natura jest zupełnie bezstronną w swem postępowaniu względem ludzi dobrych i złych. Tylko potrzeby społeczne zmuszają nas do związywania, jeżeli nie wszystkich grzechów, to przestępstw z cierpieniem, jako karą. Ale po za potrzebami społecznemi, grzech i cierpienie są ilościami niewspółmiernemi. Zdaniem autora jest także bezmyślnie twierdzić, iż istnieje zależność absolutna między pewną ilością grzechu a pewną — cierpienia, lub pewną ilością cnoty a pewną szczęścia, jak rozprawiać o odległości pomiędzy 1 stycznia i mostem Westminsterskim. Gladstone natomiast był innego zdania. Pozostawiając na boku pozornie nieprawidłowy podział dóbr, twierdzi, iż ludzie dobrzy są wogóle szczęśliwsi od złych i że pierwsi żyją napewno dłużej od drugich.

Dziwna rzecz, iż przy takich zapatrywaniach Gladstone podziwiał i uwielbiał Napoleona I. Zdawałoby się, iż taki moralista powinień był spoglądać na wielkiego zdobywcę jak na mordercę, którego należało stracić po pierwszej jego zbrodni. Otóż nie, on czuł pewną sympatyę nawet do wielkości Napoleona, tak odrębnej od dobra i która była jedynie wyrazem siły. Był zadowolony, iż Napoleon nie został rozstrzelany, jak tego wymagał Wellington i znajdował niesmacznem znane słówko Talleyranda: gdy po śmierci cesarza, ktoś się odezwał „Quel événement!“ — mistrz epigramu odparł: „Ce n'est plus un evénement, ce n'est qu'une nouvelle.“

„Anegdota pańska — rzekł Gladstone — jest dobrą ilustracyą Talleyranda i olśniewającej potęgi cynicznych przyzwyczajeń umysłu. Zobacz pan, jak ta *nowina* wstrząsnęła Manzonim, gdy opisuje próżnię, pozostawioną w świecie po odejściu tego olbrzyma.“ Gladstone sam przetłomaczył słynną odę Manzoniego *). Natomiast odę Byrona, napisaną z tegoż powodu, uważał za chybioną. Mówiono o geniuszu. Tollemache wyraził myśl, iż geniusz jest zwykle wybujałą jednostronnością.

„Takim jest talent, ale nie geniusz“ — odparł Gladstone. A gdy Tol. na dowód przytoczył Miltona i Shelleya, Gladstone wyraził się o pierwszym, iż jest wyjątkiem ze wszelkich prawideł — „jest zagadką — prawie nierozstrzygalną.“ Co do Shelleya, odrzucił słuszność tego dowodu na tej zasadzie, iż poeta, umarłszy za młodu, „nie wyłonił się w zupełności ze skorupy jajka.“ Nikt zaś z pośród ludzi nauki nie pozostawił mu żywszego wrażenia genialności, niż Richard Owen. Darwin wywarł nań takież samo wrażenie, ale Darwina widział raz tylko w towarzystwie gdy Owena znał bliżej.

„Czy powiesz pan także, iż Huxley był człowiekiem genialnym?“

„Bynajmniej. Huxley miał talent do pewnego stopnia, ale nie geniusz. Z pośród młodszych uczonych chyba tylko Romanesa można uważać za genialnego.“ Ta predylekcya do Romanesa objaśnia się, według Tollemacha, jego ortodoksyą z ostatnich lat życia. Shakespeare'a Gl. potępiał za niemoralność, przyznając, iż obok Homera i Dantego należał do największych poetów świata. Sąd moralny W. Scotta był zdrowy, ale słaby, co objaśnia się w ten sposób, iż pisarz ten miał na celu tylko rysowanie charakterów i starał się nadać taką objektywność zarówno niemoralnemu, jak i moralnemu postępowaniu, iż osłabiał pojęcie grzechu. W większym jeszcze stopniu można to samo powiedzieć — jak to Ruskin wykazał — o Shakespearze. Ale czego mu Gladstone wybaczyć nie mógł, to że był obrońcą despotyzmu Tudorów. Krytyk jednak sądzi, iż ktokolwiek studyuje dziedziczność, nie może zachować jasnego pojęcia o grzechu. I na tej zasadzie usprawiedliwiał słabość poczucia moralnego Shakespeare a i Scotta. Gladstone odpowiada na to, iż nie widzi, żeby Shakespeare zajmował się dziedzicznością, ani też, żeby miał jasny pogląd na moralne trudności, związane z nią. Tollemache przypomina, iż w „Antoniuszu i Kleopatrze“ Lepidus powiada o wadach Antoniusza, że „są dziedziczne raczej, niż nabyte,“ tak samo Hamlet mówi, iż niektórzy ludzie z urodzenia mają nałogi występne.

Gladstone wogóle dziedziczności nie przypisywał wielkiej wagi i sądził, iż ludzie są w znacznym stopniu wytworami warunków. „Weźmy — powiada — wypadek krańcowy, gdy ktoś skazany jest na śmierć. Wówczas sędzia, jeżeli jest istotnie chrześcianinem, powinien rzec samemu sobie: Bóg wie, jak wielkim pokusom człowiek ten ulegał i chociaż w interesie społeczeństwa zmuszony jestem ukarać go, on może w dniu sądu ostatecznego być przeniesionym nade mnie.“

Krytyk ze swej strony twierdzi, że, zdaniem wielu współczesnych myślicieli, gdyby przyjąć pod uwagę dziedziczność, wychowanie i pokusy, wówczas sędzia, zbrodniarz i każdy inny człowiek znajdowaliby się na zupełnie tym samym poziomie. Ale tak daleko Gladstone iść nie chciał.

Przejdźmy do sądów literackich Gladstone'a. Zajmował się on, jak wiadomo, wiele Homerem i zaprzeczał, między innemi, aby poczucie różnicy barw było rozwinięte w Grekach z owych czasów. Homer, który ma tak doskonały smak w kwestyach piękna formy, jest zupełnie niejasny, gdy rozprawia o kolorach. Pewien wybitny rabin żydowski mówił mu także, iż Hebrajczycy starożytni odznaczali się tą samą wadą: „Otóż moje zdania w tej kwestyi — powiada Gladstone — ściągnęły na mnie klątwy ortodoksyi Darwinowskiej ...Pewni niemieccy ewolucyoniści twierdzą, iż muszę się mylić, gdyż niektóre niższe zwierzęta mają doskonale rozwinięte poczucie kolorów: a co one mają, to człowiek musi posiadać.“

Tol.: „Ci ewolucyoniści mówią głupstwa. Mogliby tak samo twierdzić, że ponieważ muchy i ptaki mają skrzydła, to i człowiek musi je posiadać.“

Glad.: „Spór o poczucie kolorów trwa w dalszym ciągu w Niemczech, muszę jednak wyznać, iż większość pisarzów niemieckich nie zgadza się ze mną.“

Istnienie realne Homera wydawało mu się niewątpliwem. „Na równi z Shakespearem tak przewyższył swych współczesnych, iż trudno zrozumieć, jak odnośne stulecie mogło go wydać. Niektórzy niemieccy krytycy przypuszczają, iż było

*) „Cinque Maggio.“

przynajmniej dwóch Homerów, jeden dla Iliady, drugi dla Odyssei, ale jeżeli trudno pojąć, jak jeden Homer mógł powstać w owych czasach, to tem trudniej jest zrozumieć pojawienie się dwóch. Jest to coś podobnego, jakby krytyk, spostrzegłszy, iż istnieją pewne różnice pomiędzy *Hamletem* a *Mackbethem* chciał twierdzić, iż wiek Elżbiety musiał posiadać dwóch Shakespearów."

Z nowożytnych pisarzów Gladstone stawia bardzo wysoko W. Scotta. Dzieła jego wydają mu się utrzymanemi w „wielkim stylu." Porównywał je do obrazów Rafaela i wogóle mistrzów starożytnych. Żałował tylko, iż produkcya Scotta była zbyt obfitą. Najwięcej lubił „Kenolwortha" i „Lucyę z Lamermooru," w drugim rzędzie umieszczał „Ivanhoego" i „Wawerlego."

Moliere'a Gladstone bynajmniej nie stawia na równi z Shakespearem lub Goethem. Jego arcydzieła: „Mizantropa" i „Tartuffe'a" uważał za sztuki trzeciorzędne. Najdowcipniejsi pisarze, zdaniem jego, byli Arystofanes i Shakespeare. Carlyle był dlań nie filozofem, lecz poetą, któremu natura odmówiła zdolności wierszowania. Tennysona stawiał również wysoko, jak i Morrisa. Żałował tylko, iż nie mógł mianować tego ostatniego poetą-laureatem, dla jego opinij społecznych. O Browningu powiedział na wiarę, iż musi być człowiekiem godnym uwielbienia, ale go nie czytał. Co do Mereditha, rozpoczął kiedyś czytać „Diana of the Cronway," ale nie dokończył.

W powieściach G. Eliot — która czyniła nań raczej wrażenie mężczyzny, niż kobiety — upatrywał brak harmonii: „Każe ona pobierać się ludziom tak nieodpowiednim, jak Adam Bede i Dinah."

Gladstone wspomina o jej entuzyazmie dla Żydów, który był nie mniej potężnym, niż — Disraelego. W sądach o swym wielkim przeciwniku jest dość cierpki. Uważał go za jednego z największych mistrzów dowcipu parlamentarnego, ale na charakter jego spoglądał „jak na wielką zagadkę" i było mu przykro, iż „zagadka ta nigdy rozstrzygniętą nie zostanie."

O Żydach Gladstone mówił co następuje: „Myślałem zwykle, iż Irlandczycy byli ludem najbardziej uciskanym na ziemi; ale teraz sądzę, iż Żydzi byli daleko bardziej ciemiężeni. Królowie z wieków średnich często stawali po stronie Żydów wobec ucisku szlachty. Czyż dlatego, iżby chcieli wybawić ich od tego ucisku? Bynajmniej. Sądzili tylko, iż prawo torturowania Żydów i wyciskania z nich pieniędzy powinno być ich wyłącznym monopolem. Osobiście, nie zaprzeczając ich wad, Gladstone stawiał bardzo wysoko Żydów nietylko umysłowo, ale i moralnie (pod tym ostatnim względem opierał się na zdaniu swego przyjaciela, sira Andrew Clarka). Co się tyczy ich olbrzymiego rozwoju umysłowego, to zgadzał się z Maksem Mullerem, iż on rozpoczął się głównie wówczas, gdy się zetknęli z Aryjczykami. Bohaterów biblijnych — z wyjątkiem Mojżesza, którego uważał za postać realną — nie stawiał wysoko. Przenosił nad nich bohaterów Homerowskich.

Zapytany o to, czy się nie obawia, iż demokracya sprowadzi wszystko do wspólnego poziomu i że nauka zbyt pospiesznie zagarnia dawne dziedziny teologii, Gladstone odparł: „Nie jestem tyle przestraszony postępem ani demokracyi, ani nauki, jak wzrastającą potęgą pieniędzy. To wydaje mi się najgroźniejszem złem przyszłości."

Bismarcka nie bardzo cenił dla jego braku skrupułów.

Niedawno *) pisaliśmy o Browningach z powodu wyjścia korespondencyi ich ze znajomymi. Opowiedzieliśmy wówczas historyę słynnego romansu dwojga poetów. Obecnie wydane zostały listy miłosne, które pisywali do siebie za czasów owych. Jest to wspaniały duet głębokiej i szczerej miłości.

Wydawcą tej korespondencyi jest syn, którego spotykają zewsząd ostre zarzuty, iż nie powypuszczał pewnych szczegółów, nazbyt drażliwego charakteru, traktujących bądź o sprawach pieniężnych, bądź też o zupełnie poufnych. Czyni to ujmę pamięci poetów, a czytelnika stawia w przykrem położeniu. Jak słusznie powiada z tego powodu Leslie Stephen, lektura ta często sprawia wrażenie, jak gdybyśmy „podsłuchiwali za drzwiami."

Dr. L. Winiarski.

*) *Prawda* 1898.

POEZYE

MELANCHOLIA.

Jestem wiecznie samotny, choć mam braci tyle,
Jak oni, wiecznie głodny, choć nie brak mi chleba,
Jak oni, nurzam stopy swe w codziennym pyle—
I, jak im, tak mnie cudu do życia potrzeba.

Kto wie, możem urodził się o wiek za późno,
A może i za wcześnie. Za stadem żórawi
Lecących lubię patrzeć. Cóż—błąkam się próżno.
Trochę nudno mi... trochę serce mi się krwawi—

Ale to tylko trochę. Zresztą lubię bardzo
Patrzeć, jak ludziom gwiazdy ukochane bledną,
Te ukochane gwiazdy. Są tacy, co gardzą,
Inni, co mi się dziwią wgłos.. Wszystko mi jedno.

Mam i troski... Śni mi się wielka, szklana szyba.
Jakże ją dobrzy ludzie pięknie wyczyścili!..
Za szkłem coś się trzepocze. To motyle chyba...
Jak pięknym jest za szklaną szybą zbiór motyli!

Przekłute szpilką rwą się skrzydłami ku łące.
Te skrzydła błyszczą jeszcze połyskami chwili...
O, myśli, myśli strute, zgłodzone, więdnące!..
Jak pięknym jest za szklaną szybą zbiór motyli!..

Wogóle świat jest piękny. Chociaż wolę baśnie—
Takie zwyczajne bajki z lampą Alladyna.
Jedna była prawdziwa nawet. To ta właśnie.
Bardzo ładna, choć trochę Psyche przypomina.

Było serce podobne do greckiej amfory
Kryształowej. We środku ogień tlił zarzewiem.
Człowiek, co miał to serce, podobno był chory,
Chory na jakąś wolę. Zresztą dobrze nie wiem—

Może na coś innego. Serce było ciche,
A człowiek chory—więc je wyjął pokryjomu
I oddał komuś. Ale nie pamiętam komu
Mówili, że to była Psyche... Może Psyche...

A ona wzięła serce w ręce i rozbiła.
Człowiek został bez serca. A ludzie mówili:
„Patrzcie — człowiek bez serca!" Nic— ranka nadgniła...
Jak pięknym jest za szklaną szybą zbiór motyli!..

Krótka bajka. Od życia krótsza. Wielka szkoda.
Trzeba się raz nauczyć przecie ścisnąć pięście
I czekać. Można patrzeć, jak w dal płynie woda
I czekać. Długo, długo czekać... Idzie Szczęście.

Czy to ty jesteś, Szczęście? Coś mi zmysły mroczy.
Ty Szczęście?.. Więc to prawda... Szczęście? krwią i ciałem?..
Nie poznałem. Ty Szczęście?.. Takie dziwne oczy!..
Zmysły tracę. Nie dziw się, że cię nie poznałem.

Znam cię. Ileż to kroci razy przy odlocie
Widziałem cię przy każdej cząstki duszy trumnie!
Ale nigdy z gościną... To były mgnień krocie...
O, Szczęście moje, czy ci dobrze będzie u mnie?..

To ty!.. Patrz, otom jakie tobie przygotował
Mieszkanie. Zimne lochy i przepastne ciemnie.
Fundamenty się walą, gruz sypie od pował...
Nie wzdrygasz się? nie boisz nic?.. nic?.. Precz ode mnie!..

A takbym pragnął krzyczeć, tuląc stopy twoje:
Na całe życie prowadź! na całą śmierć prowadź!
Lecz wprzód spojrzyj i powiedz: tu, przed tobą stoję —
Czy ty potrafisz moją nędzę uszanować?

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

ROBOTNICY WĘDROWNI W ROLNICTWIE.

III.

Zobaczmy teraz, jak przy tych warunkach najmu przedstawia się materyalne położenie robotnika, jaką pobiera płacę, jak może żywić się, jak mieszka.

Materyału dostarczy nam tu ankieta o położeniu robotników wiejskich, urządzona w r. 1892 przez Towarzystwo ekonomistów niemieckich (Verein für Sozialpolitik *). Jest to materyał niezmiernie obfity, szczegółowy i pozwalający sądzić o położeniu najmitów wiejskich w całych Niemczech. Podamy zaledwie kilka charakterystycznych cyfr i to wyłącznie odnoszących się do stosunków w Księstwie Poznańskiem i na górnym Szląsku.

Najpierw co do płacy roboczej. Z ankiety dowiadujemy się o wynagrodzeniach zdumiewająco nizkich w tych okolicach, gdzie najmocniej żalą się na brak robotników. Parobek na dworskim wikcie pobiera w Księstwie i na Szląsku 75 do 150 marek rocznie, dziewka 60 do 100. „Deputanci" otrzymują 60 do 180 m. gotówką. Są to sumy niewysokie. Właściciele ziemscy nie przeczą temu, lecz twierdzą, że pomimo tej nizkiej płacy, robotnicy ich są w położeniu lepszem od fabrycznych, gdyż otrzymują wszystko, czego potrzebują do wyżywienia siebie i rodziny, mając obfitą ordynaryę.

*) Rezultat tej ankiety ogłoszono w tomach 53—55 zbioru „Schriften des Vereins für Sozialpolitik." z których 55, redagowany przez prof. Webera, zawiera sprawozdanie o położeniu robotników „na wschód od Elby." Wspomnieć tu należy, że danych dostarczali wyłącznie ludzie wskazani przez stowarzyszenia właścicieli ziemskich. Jeżeli więc chodzi o ocenę niezgodności sprawozdań, to raczej przypuszczać należy pewne zabarwienie optymistyczne w pojęciach o doli robotnika. Na wzmiankowanem przez nas posiedzeniu sejmu pruskiego zdarzył się fakt charakterystyczny: Jeden z posłów wolnomyślnych powoływał się na fakty przytoczone w tej ankiecie; wtedy p. Miquel — niegdyś komunista, potem dyrektor osławionego banku „Discontogesellschaft," a jeszcze później jeden z matadorów stronnictwa „nacyonalliberałów," posłuszne narzędzie w rękach Bismarcka, główny obrońca projektu o funduszu stomilionowym na wykup ziemi z rąk polskich, a dziś wszechwładny w Prusiech minister finansów, cieszący się bezwarunkowem poparciem junkrów — odezwał się z lekceważeniem o ankiecie i pracy Webera, podając w wątpliwość wartość tego materyału. Weber w jednem z pism fachowych wykazał całą niesłuszność zarzutu i wskazał wielką zmienność w sądach i poglądach pana ministra, który przed kilku jeszcze laty mówił o ankiecie z wielkiem uznaniem. Przytaczamy ten szczegół, ponieważ wobec wielkiej czujności uczonych niemieckich dzisiejszej doby na „prądy górne," możliwem jest, że pan minister a ex-dyrektor banku, znajdzie uczynnych profesorów, podających w wątpliwość dane, na których się opieramy. Dla ludzi nauki wszakże opinia p. Miquela nie powinna mieć większej wartości od tej, jaką miały dla akcyonaryuszów akcye przedsiębiorstw popieranych przez „Discontogesellschaft" w czasie krachu 1876 r.

Przyjrzyjmy się tej obfitości.

Zboża dostaje deputant w Księstwie 20 do 23 centnarów (po 100 funtów — 50 kilogramów), niekiedy mniej nawet, bardzo rzadko więcej: na Szląsku 20—25 centn. Nie ulega wątpliwości, że wymiar to za szczupły, że rodzina robotnicza nie może nim wyżywić się należycie. Najlepszym tego dowodem jest, że na Pomorzu spożycie zboża rodziny robotniczej jest niemal w dwójnasób większe, wynosi bowiem 40 centnarów. Ziemniaków wydziela się w ordynaryi 60 do 80 centn. i nie więcej też można liczyć — raczej mniej—zbioru tam, gdzie pod ziemniaki wyznaczają ordynaryuszom grunt. Ta ilość kartofli starczy wprawdzie na rodzinę robotniczą, ale nie zawsze na karm dla trzody chlewnej, a przecież tylko wypasając wieprza rodzina robotnicza zaopatrzy się w cokolwiek mięsa i okrasy. Lecz gdyby nawet kartofli tych było dosyć, nie pocieszy nas to bardzo wobec faktu, że stwierdzono dla naszych dzielnic zmniejszenie się raczej, niż zwiększanie spożycia zboża, z czego wynika, że w pożywieniu ludności robotniczej kartofle nadmierną zajmują pozycyę, co jest bezwarunkowo ze względów hygienicznych zjawiskiem szkodliwem. Konsumcya mięsa również jest bardzo niewielką. Czeladź dworska jada je dwa razy tygodniowo, komornicy zwykle biją jednego wieprza do roku i dokupują cokolwiek słoniny i świeżego mięsa. Ważnym czynnikiem wobec braku pożywienia mięsnego jest nabiał. Jednakże okazuje się, że pod względem tej jego ilości, jaką rozporządzać może rodzina robotnika wiejskiego, zaszło pogorszenie. Intensywna gospodarka zmusza do zmniejszenia obszaru pastewników i wskutek tego w wielu miejscach zmniejszono liczbę krów, które wolno komornikom i deputantom wypędzać na pastwiska dworskie; miejscami dziedzice odjęli swoim robotnikom prawo utrzymywania krów na paszy dworskiej i dają mleko jako ordynaryę, lecz mniej, niż dostarcza krowa. (Dobra krowa mleczna dawać winna najmniej 1,500 litrów rocznie, ordynarya wynosi 720 do 1,200 litrów). Co do mieszkań, to pod tym względem poczyniono pewne postępy, gdyż wymagania robotników powiększyły się. Mimo to skargi na mieszkania nie ustają i rzeczywiście są one w bardzo wielu dobrach w stanie opłakanym.

W r. 1897 stowarzyszenie lekarzy urzędowych (Verein preussischer Medizinalbeamten) urządziło ankietę o mieszkaniach robotników wiejskich i rezultaty ogłosiło drukiem. Oto kilka przykładów, określonych jako "najgorsze: 1) (okręg Babiwojski) mieszkanie składa się z jednej izby oświetlonej i opalonej, komórki, poddasza i połowy sieni; przestrzeń na każdego mieszkańca 13,3 metrów *) sześciennych, ściany z gliny lepione, podłoga gliniana, pod oknem gnojówka, ustępu nie ma: mieszkanie wilgotne; 2) (okrąg Międzyrzecki) za całe mieszkanie służy jedna izba; ściany z gliny, wilgoć, przestrzeni 11,2 metr. sześc.: 3) (okręg Wieleński) mieszkań „dobrych" niema, złe stanowią 85%, średnie 15%; składają się z jednej izby, w której powietrze „dech zapiera," ściany i podłoga z gliny. A oto przykładnik ogólnie malujący położenie (z okręgu Odolanowskiego): „W lepiankach glinianych, krytych słomą, mieszka w jednej małej, niskiej izbie cała rodzina. Niekiedy ma ona do rozporządzenia jeszcze drugą maleńką, nieopalną komórkę, w której sypiają dziewczęta. Rodziny są zazwyczaj liczne, a więc w izbie, gdzie gotują, piorą, pieką i sypiają, mieści się 6—10 osób, łóżek zaś bywa 3 lub 4. W zimie mieszczą się tu kury i gęsi a zawsze beczka z kapustą, której nie ma gdzie podziać, tylko w izbie — zakaża powietrze." Lecz oto jeszcze inny obrazek: z okolic Inowrocławia: Wolni najmici, którzy od dziedzica zakupili kawałek lichego gruntu, nie mając za co postawić chałup, pokopali sobie nory na głębokość metra, wznieśli z okrąglaków ściany na wysokość dwóch metrów, położyli dach z takichże okrąglaków i obrzucili to wszystko z zewnątrz gliną i darniną: długość takiej nory wynosi 4, szerokość 3 metry, a gnieździ się w niej 10 osób, wraz z drobiem, wieprzami itd. Mieszkańcy potrosze pracują na własnym i pańskim gruncie, tęgo piją, niekiedy kradną. Lecz—jak powiada sprawozdawca — nauczyciel wiejski — „są pomiędzy nimi też bardzo porządni robotnicy." Porządni robotnicy, mieszkają jak troglodyci w jamach podziemnych! Nie dziwimy się, jeżeli ludzie uciekają z takich siedzib. Lecz nawet owe normalne mieszkania są takie, że dążenie robotników do miast, gdzie wprawdzie komorne drogie, lecz i zarobek większy, dziwić nie powinno.

Przytaczamy kilka przykładów budżetów rodzin robotniczych z rozmaitych okręgów: 1) Okręg Bydgoski: sił roboczych 3 (komornik i dwie dziewki jako szarwark): zarobek gotówką 300 marek, ponieważ jednakże dziewkom zapłacono 120, pozostaje 180 marek; zbioru z roli wydzielonej i ordynaryi razem zboża centnarów 30, ziemniaków 80. 2) Okręg Mogilnicki: sił roboczych $2^1/_2$ (komornik, dziewka i podrostek), dochód czysty (po potrąceniu 60 marek dla najętej dziewki) 240 marek, zboża 18 i ziemniaków 75 centnarów. 3) Okręg Międzyrzecki: sił roboczych $2^1/_4$ (komornik, dziewka i dziecko), dochód gotówką 230 marek, zboża centnarów 20, ziemniaków 80, zabito 2 wieprze. We wszystkich tych przykładach komornik miał krowę na dworskiem pastwisku i otrzymywał opał. A oto budżety ze Szląska: 1) Okręg Gliwicki: sił roboczych $1^3/_4$ (tj. komornik i żona, która zarobkuje tylko częściami), dochód gotówką 420 marek, zbiór ziemniaków 25 centnarów, deputatu niema, musi kupować chleb, mleko, mięso. 2) Okręg Lubliniecki: sił roboczych $1^3/_4$, zarobek gotówką 80 marek, ordynaryi zboża centnarów 20, ziemniaków 75, kupuje mleko i mięso. Nie są to budżety rodzin najgorzej postawionych, są tam jeszcze nędzniejsze. Lecz i te, które przytaczamy, świadczą dostatecznie o położeniu godnem pożałowania, graniczącem niemal z nędzą. Dochód gotówką nawet w tych przykładach, gdzie wydatkować na chleb i mleko nie trzeba, jest mizerny; gdzie trzeba płacić gotówką za chleb i nabiał, mamy przed sobą nędzę.

Aby umożliwić porównanie położenia tych rodzin robotniczych wiejskich, przytoczymy zarobki robotników górniczych na Szląsku w roku 1892. Przeciętny zarobek dorosłego wynosi 790 marek rocznie, kobiety 313, wyrostka 302. Prawda, że płacą komorne i całą żywność kupują za gotówkę, pomimo to wszakże nie może ulegać wątpliwości, że położenie ich materyalne jest stanowczo lepsze; wiadomo przytem, że górnicy górnoszląscy należą do najgorzej płatnych w całem państwie niemieckiem.

Takiem jest położenie robotników zakontraktowanych na stałe. Co się tyczy wolnych najmitów, owych posiadaczy małych parceli rolnych, to oczywiście położenie ich jest zależne przedewszystkiem od ilości i jakości posiadanej roli. Płaca jest tu również bardzo rozmaitą. W Księstwie wolny najmita zarabia w czasie żniw przy pracy akordowej 2 do 3 marek, na górnym Szląsku do 2½. Inne rodzaje pracy są opłacane znacznie gorzej i dziennie nie przekraczają $1^1/_5$ marki dla mężczyzny, 60 fenigów dla kobiety; w krótkie zaś dnie zimowe płaca wynosi 80 fenigów dla mężczyzny, 60 dla kobiety, a zdarzają się nawet mniejsze.

Właściciele ziemscy twierdzą wprawdzie, że robotnicy ich, chociaż pobierają mniejszą płacę od przemysłowych, nigdy nie są narażeni na taką nędzę, jaką napotkać można śród robotników wielkomiejskich. Powtarza się tu ta sama historya, co w Anglii, gdzie landlordowie wytykali z przyjemnością przemysłowcom nędzę panującą śród robotników miejskich, lecz milczeli o tem, co się dzieje u nich. Nietrudno wszakże o przykłady rozpaczliwej wprost nędzy śród najmitów wiejskich.

Przytem pogląd, jakoby stosunki rolne różniły się zasadniczo od przemysłowych swoją stałością, nie bardzo odpowiada rzeczywistości. Przejście od ekstensywnej do intensywnej gospodarki, zaprowadzenie maszyn rolniczych, rozpowszechnienie w pewnej okolicy uprawy buraków itp. zjawiska ekonomiczne, wywierają ogromny wpływ na położenie najmitów wiejskich. Trzeba nam tedy rozpatrzeć się w przewrotach, jakie zaszły pod tym względem i poznać wpływ ich na położenie najmitów wiejskich.

(C. d. n.).

Dr. J. B. Marchlewski.

*) Jako minimum hygieniści obliczają 16 metrów sześciennych na osobę.

W DALI

Lublin. Z powodu zamierzonej budowy szpitala w Gościeradowie, toczyła się korespondencya między Radą miejską dóbr. publicznej a zarządem Towarzystwa dobroczynności o to, komu powierzony być ma zarząd owego szpitala. Ostatecznie Rada doszła do postanowienia, wmyśl którego kierunek lekarski i administracyjny nowej instytucyi oddany będzie lubelskiej Radzie miejskiej dobroczynności publicznej, przy warszawskiej zaś pozostaje prawo nadzoru ogólnego. — P. Korniłowicz z Radomia zamieścił w *Lublinskich Gub. Wied.* artykuł, którego treść zasługuje na zacytowanie: „Przeważna część gub. Lubelskiej i Siedleckiej zaludniona jest przez Małorusinów, używających swego rodzinnego języka małoruskiego. Wskutek tego dla czytelników *Lublinskich Gub. Wied.* oraz dla miejscowych działaczy, mających bliskie stosunki z ludem, ciekawem i pożytecznem będzie zapoznać się z pewnem, powstałem świeżo Towarzystwem, mającem styczność z narodem małoruskim. W d. 19 listopada 1898 r. ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawę „filantropijnego Towarzystwa wydawania pożytecznych i tanich książek dla ludu małoruskiego." Po upływie miesiąca założyciele Towarzystwa i jego członkowie zgromadzili się w sali Rady miejskiej petersburskiej, gdzie po odprawieniu nabożeństwa i wygłoszeniu wielolecia Domowi Panującemu, inicyator, generał-major Fedorowski, ogłosił jego otwarcie i następnie prosił zgromadzonych, aby mu pozwolono odpowiedzieć na pytanie, zadawane niejednokrotnie jeszcze przed zatwierdzeniem ustawy, dlaczego tworzy się Towarzystwo specyalnie dla Małorusinów, lecz nie bezwzględnie dla wszystkich, potrzebujących tego rodzaju wydawnictw? Inicyator odpowiedział, co następuje: „Wśród Małorusinów mieszka bardzo dużo Polaków, Niemców, Czechów, Żydów, z kulturą bez porównania wyższą i która wskutek tego pomaga im zajmować przeważające stanowisko. Liczni są zwłaszcza Żydzi z ich wybitnemi, zarówno dodatniemi jak i ujemnemi właściwościami, przy dążeniu do dobrobytu ekonomicznego. Wobec tak nierównych warunków w celu wyprowadzenia prostego, naiwnego, nieoświeconego ludu z tego uciśnionego stanu, w którym obecnie się znajduje, należy wejść na jedyną legalną drogę, którą jest oświata. Zaznaczywszy następnie, że ponieważ Małorusini bardzo niedokładnie pojmują język literacki książkowy, a częstokroć wcale go nie pojmują, to bezwarunkowo jest konieczne

nem zwracać się do nich w ich własnym języku, aby być zrozumianym należycie. Jako dowód tej konieczności inicyator wskazał fakt, że nawet komitet cenzury przy jego wysokim umysłowym i edukacyjnym poziomie nie może się obejść bez tłomacza specyalnego, doświadczonego i znającego dobrze język małoruski. Wszystko, co powiedział inicyator Towarzystwa w cytowanej mowie, znajduje w całości zastosowanie do gub. Lubelskiej i Siedleckiej. Wobec tego należy jedynie życzyć, aby odezwa Towarzystwa znalazła echo w tych stronach. Składając corocznie stosunkowo drobną kwotę, każdy może zostać członkiem Towarzystwa i tym sposobem przyczynić się do materyalnego powodzenia tej pożytecznej instytucyi, pierwszej w Rosyi w tym rodzaju. Wymaga ona, zwłaszcza w pierwszych chwilach istnienia, środków pieniężnych."

Ciechanów. Zmarły* w ostatnich czasach właściciel majątku ziemskiego Sokołówka, położonego pod Ciechanowem, zapisał tę posiadłość aktem notaryalnym na założenie szkoły rolniczej, a w razie gdyby z jakichkolwiek powodów było to niemożliwem, całość zapisu przechodzi na rzecz kasy imienia Mianowskiego. Wartość majątku przeznaczonego na jeden z tych dwóch celów użyteczności publicznej oceniają w przybliżeniu na 40 do 50 tysięcy rubli. Wykonawcą testamentu jest dr. Rajkowski z Ciechanowa.

Radom. Zamieszkały w Radomiu b. inżenier kolei Dąbrowskiej, p. Możdżeński, otrzymał pozwolenie władzy gubernialnej na przeprowadzenie studyów kolejki wązkotorowej podjazdowej, mającej połączyć Radom z Ostrowcem przez Skaryszew i Iłżę. Plany i kosztorysy tej linii sporządzone być mają w ciągu dwóch miesięcy; kolej obsługiwana będzie parą.

Czersk. Komisya, delegowana przez rząd gubernialny warszawski oszacowała ruiny Czerskie na rubli 300 i na takąż kwotę paromorgową górę otaczającą zamek. Rozumie się, że taksa sporządzona dla ustanowienia sumy, od której rozpocznie się licytacya, bierze pod uwagę materyał budowlany dający się osiągnąć z rozbioru ruin, a ziemia traktowaną jest jedynie jako nieużyteczna. Czy nie znajdzie się u nas człowiek, mogący poświęcić te kilkaset rubli dla uratowania szczątków, mających bądź co bądź wartość zabytku historycznego?

Odesa. Niedawno odbyło się doroczne ogólne posiedzenie katolickiego Towarzystwa dobroczynności. Z odczytanego tam sprawozdania czerpiemy garść ważniejszych szczegółów (według relacyi korespondenta *Gazety Polskiej*). Zgromadzanie środków materyalnych na cele dobroczynne w roku sprawozdawczym odbywało się pomyślnie. Znacznie się zwiększyły ofiary jednorazowe, przeznaczone na wzniesienie własnego budynku dla przytułku dziennego dla dzieci ubogich rodziców; następnie wzrosły dochody z balów i przedstawień amatorskich, również dochody z ofiar, wnoszonych zamiast wizyt świątecznych. Jedynie roczne opłaty członków wpływały dość powoli. W części wynagradza to wstąpienie do Towarzystwa dziesięciu nowych członków honorowych, którzy wnieśli do kasy Towarzystwa 1,100 rb. Towarzystwo wydawało biednym pieniądze, węgle, chleb, odzież, lekarstwa. Stosunkowo najwięcej pochłonęły zapomogi pieniężne, wydane tym, którzy do Odesy przyjechali w nadziei znalezienia pracy i, nie znalazłszy jej, musieli powracać w swoje strony. Liczba przyjeżdżających do Odesy katolików wzrasta corocznie, skutkiem czego bardzo wielu nie znajduje pracy. W roku ubiegłym np. zwracało się do Tow. 591 osób, poszukujących pracy. Z tej liczby zaledwie 133 otrzymało zajęcie. Pomyślny wynik inicyatywy Tow. dobr., co do urządzenia przy zarządzie biura informacyjnego o poszukujących pracy, najzupełniej zależy od poparcia członków. Zarząd Tow. dobr. utrzymuje przytułek dla chłopców, kształcących się na ślusarzy. W roku sprawozdawczym uczyło ich się pięciu. W tym samym przytułku było również 5 sierot, uczących się w niższych zakładach naukowych. Wydatki na utrzymanie jednego chłopca wynosiły 200 rb. Przytułek ów będzie zczasem przekształcony na szkołę rzemieślniczą. W r. z. wzniesiono własny budynek dla dzieci ubogich rodziców-katolików. Plac (700 sążni kw.) ofiarowało miasto bezpłatnie, sam zaś budynek kosztuje 21,364 rb., oraz ściana murowana i brama 2,289 rb. Wznosząc stosunkowo taki duży budynek, zarząd Tow. miał na widoku stały wzrost liczby dziatwy, korzystającej z przytułku, tudzież otwarcie choć czasowego internatu dla tych dzieci, które wymagają zupełnej a ciągłej opieki. Zakład taki jest tem konieczniejszy, że kościelny dom sierot, mając bardzo ograniczony dla przyjęcia komplet dzieci, nie może zupełnie zaspokoić pod tym względem potrzeb parafii. Na otwarcie czasowego internatu na 40 dzieci jest już zezwolenie prezydenta miasta. W r. b. projektowane jest wzniesienie przy przytułku niektórych budynków pomocniczych (pralnia, obora dla krów itd.). Dochód Towarzystwa wynosił: opłaty członków honorowych i rzeczywistych 2,866 rb., ofiary 1,890 rb. 26 k., ofiary na budynek dla przytułku dziennego (zebrane przez p. Maryę Drzewiecką) 6,544 rb., ofiary *pain de St. Antoine* 586 rb., dochód z futoru 346 rb., z domów 12,194 rb. 33 k., z zabaw 5,949 rb. 85 k. itd. — ogółem dochodu 52,387 rb. 64 kop. Wydatki: na przytułki 2,225 rb. 63 k., na zapomogi jednorazowe 1,423 rb. 53 k., miesięczne 4,852 rb. 4 k., urządzenie balów i zabaw 2,626 rb. 20 k., apteka, chleb, podatki, wypłata długu Tow. kred., pensye rządcy, stróżów, asekuracya domów, wodociągi itd. 4,743 rb. 3 k., budowa przytułku wraz z ogrodzeniem 23,408 rb. 24 k., wniesiono na rachunek do Tow. wzajem. kred. 7,950 rb., zostało na 1 stycznia 1899 r. gotówką 551 rb. 23 k. na rachunku bieżącym wzajemnego kredytu 1900 roku.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według wyjaśnienia ministeryum co do dzieci urodzonych i wychowanych w państwie rosyjskiem lub chociaż urodzonych za granicą, ale wychowanych i wykształconych w średnich zakładach naukowych, o przysiędze na poddaństwo rosyjskie decydują władze gubernialne. Warunkiem niezbędnym w takim razie jest, aby petenci prosili o przyjęcie do poddaństwa rosyjskiego w ciągu roku po dojściu do pełnoletności i przy prośbach przedstawili dowody zastrzeżone w art. 1018 i 1019 tomu X „Zbioru praw".

- Ministeryum oświaty dozwoliło uczącej się młodzieży brać udział w stowarzyszeniach dobroczynnych, sportowych i artystycznych, z warunkiem, aby uczniowie zakładów naukowych wyższych składali w tym celu wydane zezwolenie swej władzy, a młodzież szkół średnich oprócz świadectw powyższych zezwolenie rodziców lub opiekunów. Prawo głosu na zebraniach nie przysługuje takim członkom. Wyłączeni są uczniowie szkół wojskowych, duchownych i marynarki.

Towarzystwo hygieniczne na ostatniem zgromadzeniu ogólnem pod przewodnictwem dr. Kryże, przyjęło akt darowizny p. Lenvalla, obejmującej plac przy ul. Litewskiej i kapitał 75,000 rb., przeznaczony na budowę i prowadzenie instytutu hygieny dziecięcej. Przewidywanem jest, że suma powyższa nie wystarczy dla zapewnienia nowej instytucyi trwałego bytu, i że okaże się konieczność odwoływania się do ofiarności publicznej: niemniej Towarzystwo, uwzględniając doniosłość zadania, nie waha się przystąpić do rozpoczęcia prac przygotowawczych. Kosztorysy i projekty mówią o kąpielach, natryskach, pralniach bielizny, urządzeniach gimnastyki ortopedycznej, o szczepieniu ospy ochronnej i przyrządach do sterylizacyi mleka dla niemowląt. Jednem słowem, Towarzystwo przyjęło zapis i przedstawiło decyzyę swoją do zatwierdzenia władz właściwych.

Gospodarka miejska. Zniżenie opłaty za wodę wchodzi na porządek dzienny w zarządzie miejskim, a to na podstawie znacznej przewyżki dochodów nad wydatkami przy eksploatacyi wodociągów i kanalizacyi. Rachunek przedstawia się tak: utrzymanie kanałów kosztowało w roku bieżącym 23,260 rb., a wodociągów 303,629 — ogółem 326,889 rb. Dochód zaś z opłat za wodę przyniósł miastu 998,645 rb., a dochód z kanałów 314,449 — ogółem 1,313,094 rb. A zatem czysty dochód z eksploatacyi wodociągów i kanałów sięga cyfry 986,204 rb. Suma ta znacznie przekracza normę, ustanowioną na umorzenie pożyczki i opłatę procentów od zaciągniętego przez miasto długu, zniżenie więc opłaty za wodę okazuje się możliwem bez obciążenia budżetu miejskiego, a ulga przy wzrastającej cenie komornego zasługuje na uwzględnienie.

Szkoły. W Politechnice warszawskiej na rok nadchodzący wakuje miejsc wolnych: w oddziale mechanicznym 82, inżeniersko-budowlanym 68, chemicznym 45. Egzaminy konkursowe rozpoczną się d. 28 sierpnia.

— W pierwszem gimnazyum żeńskiem w Warszawie podania o przyjęcie wnoszone być mają w kancelaryi gimnazyalnej od 13 do 27 sierpnia od godz. 10 do 12 przed południem. Miejsca wolne we wszystkich klasach, z wyjątkiem drugiej.

— W gimnazyum męzkiem w Płocku wolne są miejsca w klasach: przygotowawczej, I, VI, VII i VIII. Egzaminy poprawkowe oznaczono na d. 21 sierpnia, a rozpoczęcie na 30 t. m.

Poczta. W miesiącu bieżącym wydane zostały nowe przepisy, dotyczące listów w posyłkach zagranicznych. W razie znalezienia przy rewizyi na komorze listu zapieczętowanego, będzie ten ostatni odesłany do właściwego urzędu pocztowego, który przy wręczaniu go adresatowi ściągnie z niego karę w wysokości 1 rubla. Znalezione zaś w posyłkach listy otwarte bez względu na treść, będą zostawiane w posyłkach i doręczane wraz z niemi osobom interesowanym bez żadnej dopłaty.

Koleje i komunikacye. Wskutek pomnożenia personelu służbowego na drodze Warszawsko-Wiedeńskiej, okazała się konieczność zwiększenia kwoty, przeznaczanej corocznie na gratyfikacye dla urzędników i oficyalistów. Fundusz ten ze 125,000 podniesiony został do 200,000 rb. i w tej wysokości wprowadzony będzie do etatu na lata następne.

— Ministeryum komunikacyj zgodziło się wyasygnować 900,000 rb., wypłacalnych w trzech ratach rocznych po 300,000 rb., poczynając od roku przyszłego, na budowę trzeciego mostu na Wiśle pod Warszawą. Gdyby most ten miał służyć zarazem na użytek drogi żelaznej, powinien on posiadać pomost dla komunikacyi miejskiej, a w takim razie zapomoga ze strony ministeryum zostanie zmniejszona.

— Z rozporządzenia ministeryum komunikacyj odbędzie się w październiku r. b. w Warszawie zjazd naczelnych lekarzy wszystkich dróg żelaznych w państwie. Posiedzenia rozpoczną się d. 26 października i trwać będą 10—14 dni. Obecnie zawiązuje się u nas komitet miejscowy tego zjazdu, do którego wchodzą doktorowie: Kryże, Rembieliński, Liese, Markiewicz i Ciągliński, tudzież lekarze dróg żelaznych Warszawsko-Petersburskiej i Fabryczno-Łódzkiej.

— Na ostatniem zgromadzeniu ogólnem akcyonaryuszów kolei Łódzkiej uchwalono przeznaczyć na budowę Politechniki warszawskiej 18,000 rb., płatne w trzech ratach. Sprawę kolei obwodowej w Łodzi postanowiono odłożyć aż do czasu rozstrzygnięcia budowy kolei kaliskiej, tymczasem zaś dla uniknięcia nadmiernego gromadzenia towarów i w celu rozszerzenia stacyi, zatwierdzono zostało wzniesienie dwu stacyj pomocniczych. Czysty dochód z eksploatacyi drogi wyniósł za rok bieżący 898,388 rb., a wskutek tego dywidenda na akcyę wypada 29 rb. 80 kop. Zarząd pozostawiono w dawnym składzie, a więc powołani zostali na jego członków pp.: Bloch, Goldstand i Herbst, a na członków komisyi rewizyjnej pp.: Rawicz, Rosenblum i Graszecki.

Wylewy. Depesze donoszą z góry Wisły o ciągłem podnoszeniu się wód i wylewach dopływów. Już w d. 8 lipca spodziewano się przy 9 stopach przeciętnej głębi wystąpienia Wisły z brzegów. Z Sandomierza zapowiadano dalszy przybór, to samo z Krakowa i podgórza karpackiego; bulać tam zaczyna Raba, Dunajec i San. U nas, w okolicach bliższych Warszawy, zanotować wypada, że wszystkie niższe zagłębienia przy stacyi Wołomin stoją pod wodą, dochodzącą tam paru łokci głębokości. Szkody poniesione przez rolnika tych stron w sprzęcie siana i te, których dziś już oczekiwać wolno, patrząc na zalanie pól uprawnych, przedstawiają

się zatrważająco, a są i straty w ludziach, o których donoszą z kilku naraz punktów.

Przemysł i handel. Wydano pozwolenie na utworzenie następujących towarzystw, mających na celu nabycie i rozszerzenie działalności przedsiębiorstw już istniejących: 1) „akcyjne Towarzystwa fabryki warsztatów tkackich i maszyn Ewalda Kerna" w Łodzi z kapitałem zakładowym 600,000 rb.; 2) „akcyjnego Towarzystwa browaru Libidza" pod Częstochową z kapitałem zakładowym 300,000 rb.; 3) „akcyjnego Towarzystwa fabryki przetworów aptecznych i chemicznych dawniej Henryka Welta" w Warszawie z kapitałem zakładowym 300,000 rb. i 4) „akcyjnego Towarzystwa zjednoczonych fabryk lamp i wyrobów metalowych Braci Brünnerów i Hugona Schnejdra" w Warszawie z kapitałem zakładowym 750,000 rb.

— Według nowych przepisów ministeryum skarbu, podczas kampanii gorzelniczej w r. 1899—1900, mogą być zakładane gorzelnie nowe z warunkiem: 1) aby roczna ich produkcya w Królestwie Polskiem nie przewyższała 10,000 wiader, na potrzeby zaś monopolu gorzelnia może dostarczyć najwyżej 5,000 wiader rocznie; 2) nie wolno zakładać nowych gorzelni w majątkach, gdzie one już istnieją, lub w różnych majątkach, należących do jednego właściciela, jeśli majątek nie jest położony dalej, niż o 15 wiorst od istniejącej już gorzelni; 3) produkcya spirytusu w kampanii za lata 1899—1900 może być podniesiona o 50,000 wiader.



Odpowiedzi Redakcyi.

P. Wiesławowi w Moskwie. Adres żądany: Geneve, Suisse, B-d de Plainpalais nr. 33, chez M-me Muller.

F. F. Nadesłane wiersze należą do poezyi tylko rymami. Wyprowadzić z nich wróżby dla autora nie można. Ustęp z nowell nie daje żadnego wyobrażenia o jej wartości. Przekład dość gładki, ale to nie sztuka.

Si-re-do. Odpowiedzieliśmy szczegółowiej listownie, ale list już nie zastał Pani. Utwór obrazowany pięknie, śmiało, barwnie, ale treść jego rozpływa się w mgle. Brak mu wyraźnego konturu.

Panu E. S. Za dużo symboliki i maniery. Pomysł niewątpliwie oryginalny, ale rozwinięty niejasno, pojedyncze wyrażenia i obrazy rozłażą się, nie tworząc spójnej całości.

SPROSTOWANIE. W numerze poprzednim w wierszu p. t. „Na szczycie," w strofie 2, w. 3, zamiast „Kiedy," winno być „Kędy"; w strofie 3, w. 5, winno być: „Pode mną skały dzikie, jak gwiazd-rumowiska."

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 Іюля 1899 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.